

BLUSZCZ

Spółeczeństwo Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 7 LUTEGO 1931 ROKU

NR. 6

TREŚĆ NUMERU: Problem kobiecej pracy zawodowej — *Zofja Reutt-Witkowska*. Poezje: „Prośba o Wyspy Szczęśliwe“, „Ballada ślubna“ — *Konstanty I. Gałczyński*. Niema powrotu (nowela) dok. — *Kazimiera Mazurkova*. W paryskiej Sofjówce — *Aura Wyleżyńska*. Królowa mody drugiego cesarstwa — *Paula Lamowa*. Polka w oczach francuza — *N. J. Z teatrów* — *S. P. O.* Z życia muzycznego — *P. L.* Kobieta w świecie i w domu. Wieś pod śniegiem. Nasza Mównica. Ośmiogodzinny dzień pani domu — *Marja Ankiwiczowa*. Artystyczne koronki polskie w Belgji. Herbata — *Wanda Dobrzańska*. Grzyby suszone — *Prof. Feliks Teodorowicz*. O nakrywaniu i podawaniu do stołu — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Premje dla Czytelniczek „Bluszcza“. Dodatek „Mody i roboty“: Tualety wspaniałe — *Well*.

PROBLEM KOBIECEJ PRACY ZAWODOWEJ

II.

Obowiązki domowe kobiety w konflikcie z jej twórczością.

Jako punkt wyjścia dla niniejszych rozważań, weźmy np. takie małżeństwo. Porucznik — i towarzyszka broni, dzięki okolicznościom wojennym, nieskończona przyrodniczka, z talentem, dajmy na to, malarskim. Mają, przypuśćmy, czworo dzieci. Energiczna, wysoce inteligentna kobieta uwija się dokoła kuchni i balji; daje sobie radę, o ile nadszarpnięte wreszcie siły pozwalają, z aparatem domowym. Ale ma talent... A talent — to coś, co spokoju nie daje. Co kusi ogień: bierz się w garść! pracuj, pracuj...

Otóż to bardzo trudny szkopuł moralny do przebrnięcia dla kobiety. Jestem żoną — i matką. Mam obowiązek najpierw dbać o dzieci, o dom. A więc... czy mam prawo moralne odciągać tym dzieciom, temu domowi czas, by poświęcać go swej umiłowanej pracy artystycznej? Czy mam prawo? Do jakiego stopnia mam prawo? Czy to zasadniczo, nie egoizm?

Na to postronni, bliżej niezainteresowani, zakrzykną chórem: ależ talent ma święte prawo istnieć, rozwijać się! Ależ talent daje tyle społeczeństwu, że, wzamian, można uszczknąć *trochę* porządkowi domowemu, mniej pilnym potrzebom rodziny... Mąż niech *cośkolwiek* zrezygnuje ze swych upodobań. Można darować nieco kurzu, nieco mniej starannie wycierane firanki.

Przyznać trzeba, że pojęcie owego *trochę* i *cośkolwiek* jest bardzo elastyczne. Ład domowy, gospodarstwo-kłopotarstwo — to studnia bezdenna trudu. Trzeba wciąż i wciąż ręki dokładać, nawet przy względnie dobrej pomocy (nie zawsze na nią stać!), by wszystko zrobione było choć na czwórkę z plusem.

Aby zaś talent zaistniał czynnie, rozwinął się, trzeba, iżby choć trochę nabrał *wiary w siebie*, tej dobrej wiary, umożliwiającej życie — i która łatwiej przychodzi postronnym, niezainteresowanym... niż bliskim, najbliższym. A nadewszystko — posiadaczce talentu.

Trzeba tu uczynić walną — acz pełną wyrozumienia — napaść na pleć „mocniejszą“. Jaki jest stosunek dobrego, kochającego męża do artystycznej pracy swej połówki? Oczywiście, cieszy się, jak dziecko, każdym powodzeniem, ale wpada w dziecięcą furję, gdy coś się nie powiodło... Tymczasem, wszelkie początki są trudne. Cóż dopiero początki zawodu artystycznego dla kobiety, co ledwie wyszła z fazy suszenia pieluch, kucharowania, harówki po nocach przy drobnych dzieciach — dobrze, jeśli bez poważniejszego uszczerbku na zdrowiu! I jeszcze w czasach dzisiejszych, tak nieprzyjaznych dla sztuki.

Dziecięce furje dobrych i kochających małżonków, gdy się coś nie udaje — a przeważnie dużo, dużo się nie udaje — mają swój odwieczny podkład. Najczulszy i najmądrzejszy mąż patrzy na twórczość swej żony — choćby mu się te rzeczy podobały — jakoś spodełba. Boć to, jednak, coś, co go od niej dzieli. To jakiś jej świat, w którym on — nie włada. Mężczyźniem wrodzona jest chęć absolutnego posiadania kochanej kobiety. Samowiedza człowieka kulturalnego każe mu przyłapywać się na gorącym uczynku tej szczególnej zazdrości... o cały świat, będący tworzywem jej sztuki. Śmieje się z siebie, wstyd mu... I wpada z powrotem w swój *péché-mignon*.

Dobry, kochający mąż w zazdrości o Sztukę

obleka się w pewne typowe draperje. Staje się więc, raz po raz, bezprzykładnym higienistą: usiłuje ukrócić wszelkie poczynania artystyczne ze względu na kruche zdrowie połowicy. (Na poczynania... dużo mniej artystyczne, musi mieć kobieta każdej chwili dnia i nocy i zdrowie, i zapal). Staje się też *ad hoc*, idealny zresztą Kajtuś, nadwzorowym ojcem. Tragycznym szczytem gorliwości ojcowskiej: „Reniu! jaka z ciebie matka?! ty tu malujesz... a Włodeczek krzyczy!” Zbrodnia. Najmłodsza z wielu własną ręką odchowanych i własną piersią wykarmionych latorosli pokrzykuje sobie w sąsiednim pokoju, pod strażą piastunki. A „wyrodna” matka nie uważa za stosowne dla kaprysów zdrowego i krzepkiego bachora uszczuplać skąpych dwu godzinek, jakie wyznaczyła sobie dla swej mizernej Sztuki.

Jeszcze obrazek. Mali pożeracze doskonale orjentują się, wnet, w jakim kierunku rozwinąć mogą, właściwe młodszości kulturalnej, talenty prokurator-skie. Pędzą do ojca: „Tatusiu! mama powiedziała, że nie wolno jeździć autem po sypialni! i że musimy bawić się w swoim pokoju-u”... Mimo próśb matki, mali ludzie, zbałamuceni już „moralnym” sukursem ojca, jeżdżą zaciekle swą piekielnie hałaśliwą zabawką po terenie sypialni, przyległej do pokoju, w którym pracuje matka — i rwą, na dobitkę, na skargę do ojca. Ojciec, w odpowiedzi, napada w głos na matkę. Bez-względnie, zażarcie. Całkowita racja przy dzieciach: One mają prawo dudnić wszędzie, matka nie ma prawa pracować nigdzie. Osaczona, ścisza w kułak nerwy, napięta właśnie nad wcale zawilą stroniczką.

— Mój Kajtusi. Zadaniem ojca jest w tym wypadku wyperswadować dzieciom, iż powinny cieszyć się i dziękować Panu Bogu, że mają taki piękny, wielki dziecienny pokój. Ważniejszą rzeczą jest, bym na czas skończyła *dobrze płatną* pracę, dzięki której przybyła im już niejedna zabawka, niż żeby auto jeździło nieco głódziej po posadzce sypialni, niż po podłodze dziecińca. Przynajmniej przez te parę godzin, gdy pracuję. Pomijam sprawę, że kształcisz ich na despotów, samolubów i sykofantów.

Zacny Kajtuś zawstydzil się — i prześlicznie, wruszająco wytłumaczył dzieciom, jak trzeba szanować i *mamusi* pracę. Inaczej zgoła, gdy chodzi o pracę — tatusia. Pewien poczytny literat napisał raz w liście, jakto on, gdy przystępuje do pisania, zamyka się na cztery spusty. Obiad nawet jada u siebie w pokoju.

„Mistrzu — odpisała adresatka: — daj nam, tej czy owej, takie warunki pracy, taki stopień szacunku dla naszych praw do pracy. Obaczyłbyś wtedy, niewątpliwie, nieco inny „towar”, niż ten, jaki zdolne jesteśmy wydać z siebie dorywczo, między porą warzenia zupki dla Lalusia i porą krajania paltka dla Dzdziusi, etc. Wybyście, panowie, wogóle nie zgoła w naszych okolicznościach nie zrobili. Poszli- byście sobie w świat — w imię praw waszej Sztuki.

Albo jęczelibyście do śmierci nad waszym zmarnowa- nym talentem”.

Młody poeta, który dużo zastanawia się, jaką pragnąłby mieć żonę, powiada wreszcie:

— To znaczy, że żona wogóle nie powinna pisać.

Jeśli ma talent, nie powinna pisać. Niech obetnie sobie prawicę. Niech wyłupi sobie oko to, które ją gorszy, mówiąc językiem Pisma! Grunt, czy to „gorszość” kobiety, jeśli pisze książki, lub maluje obrazy?

Mówmy więc, narazie, o żonach-malarkach. Przewrotny pewien mąż wyraził się ze staromagnackim gestem (oraz uposażeniem 6-tej kategorii w kieszeni):

— A niechże sobie moja Ciapciuśka maluje obraz- ków, ile jej się podoba! niech sobie pozawiesza niemi całe mieszkanie! Ja nie pozwolę, żeby moja żona sprzedawała swoje obrazy!

— Warjat! — uśmiechnęła się Ciapciuśka.

Obrazki poszły doskonale. Dają po kilkaset zło- tych miesięcznie. Pan mąż sfolgował z teoretycznych rygorów. Ciapciuśka nabyła wyprawkę dla dziecka, łóżeczko dla dziecka. Ciapciuśka ubiera się za własne pieniądze, Ciapciuśka małżonkowi sprawiła burżu- skie palto zimowe. Jednak to, w gruncie, nic nie szkodzi, kiedy żona pobawi się trochę w handlarzkę swoich obrazków!

Pośledniejszym, bo mniej uchwytnym, doraź- nym objektem handlowym, niż produkcja plastyczna, jest produkcja literacka. Najgorszym — poezja. Wier- szydła. Lepiej rentuje proza. Niech żyje, zatem, pro- za! W miarę, jak za te, czy inne utwory napływa... pieniądze, rośnie, bardzo naturalnie, szacunek otocze- nia dla nich. Ha, widać, są coś warte, jeśli za nie płacą. Tak, są niewątpliwie choć tyle warte, ile wszyst- kie te pożyteczne i ładne rzeczy, jakie za swoje za- robki nabywa stroskana Ciapciuśka - sztukmistrzyni.

Tak więc oto przemycę się w sumieniu swem prawo moralne do pracy twórczej na podstawie prze- słanek z dziedziny materialnej. Sprzedaję to, co, jako artysta, popełniłam. Pieniądz ten podnosi dobrobyt rodziny. A zatem, jednak, mam prawo tworzyć. Rów- noważę krzywdę pewnych odchylen od doskonałości gospodarce.

Między linjami tych kilku sylogizmów zawarty jest cały tragizm artysty, który kocha, przecież, swą Sztukę, swą pracę — dla niej samej. Tragizm, właści- wy planecie, na której ludzkość przechodzi przez ogień walki o byt.

Wracając do kwestji kobiety-artystki, zamężnej i dietnej, nie jest i tu — jak we wszelkiem innym za- gadnieniu — właściwym rozwiązaniem życie ubożyc, jeśli nadmiar bogactwa grozi naruszeniem ładu. Nie! Trzeba, przeciwnie, wyteżyć siły, dobrą wolę i wy- nalazczość w dziedzinie zdobywania systemu życio- wego (*modus vivendi*), aby to bogactwo, ile się tylk- da, uzgodnić z rytmem codzienności.

Zadanie to trudne. Bardzo trudne. Przecie — wy- konalne!

Zofja Reutt-Witkowska.

KONSTANTY I. GALCZYŃSKI.

PROŚBA O WYSPY SZCZĘŚLIWE

*...A ty mnie na Wyspy Szczęśliwe zamieź,
wiatrem łagodnym włosy, jak kwiaty, rozwiej, zacałuj,
ty mnie ukolysz i uspij, snem muzycznym zasyp, otumań;
we śnie na Wyspach Szczęśliwych nie przebudź ze snu.*

*

*Ukaż mi wody ogromne i wody ciche,
rozmowy gwiazd na gałęziach pozwól podслуchać zielonych!
Dużo motyli mi pokaż, serca motyli przybliź i przytul.
Myśli spokojne ponad wodami pochyl miłością.*

BALLADA ŚLUBNA

*Gdyby nie był w cylindrze, byłby zmyczajny kum
Z rękami, jak dębczaki i z nosem, jak dzwonnica,
Oralby czarne pole. A tutaj gwar i szum!
„Stangret! Warjat w cylindrze!” piszczy, tańczy ulica.*

*

*Gdyby nie uprząż w różach i ta przez szyby biel,
Pomyśleć teżby można, że ot, stara kareta,
Szaleństwo muzealne, a w karecie poeta —
Ach, gdyby nie te róże, czapraki i ta biel!*

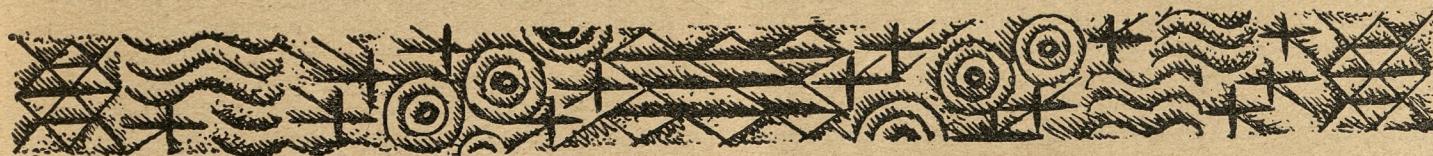
*O, gdyby nie ta gwiazda, która upadła w zmierzch,
Powiedzieć mógłby człowiek, że się to przyśniło:
Nagły zakręt w aleję złotą i pochyła,
Gdzie anioły kamienne posfrunęły z wież.*

*

*A gdyby nie ten wianek, i melon ten, i mirt,
I księżyc twojej twarzy mały, zarostydzony,
Mógłbym przecie pomyśleć, że jest narzeczony,
A tyś jest narzeczona i że to jeszcze flirt.*

*A może rzeczywiście wszystko się nam przyśniło:
Stangret, kareta, wieczór, mój frak i twój tren;
I życie nasze twarde i słodkie, jak sen...
Nie byłoby małżeństwa, gdyby nie nasza miłość.*

ŻONIE.



NIEMA POWROTU

4)

(N o w e l a)

Uśmiechnęła się głupio, wstydliwie i zupełnie krzywo, jakby jej zmartwiała połowa twarzy. Ale Zygmunt inaczej zrozumiał ten uśmiech. Pomimo wszystko, patrzył niespokojnymi oczami. Teraz odetchnął z ulgą.

— Prosiłem cię o przyjazd, aby omówić takie różne szczegóły, drobiazgi... wiesz... Przytem należy ci się odemnie pewne... jakby tu powiedzieć... Nie stąd nie zabrałaś!

W zupełnym załamaniu się świadomości czepiała się naoslep szczegółów, żeby się wydostać. Zgarniała rozpaczliwie wyrazy, przedzierające się przez straszny łomot serca, przez napierającą ze wszech stron mgłę.

Wściekłość przeciwko własnej niemocy wybuchnęła w samej głębi, ale to było tak daleko, tak daleko, że nie mogła przedrzeć się nazewnątrz przez wszystko, co ją zasypało.

Siedziała równo, spokojnie na wałku otomany z tym krzywym uśmiechem na ustach.

— Moja Neciu, rozumiesz, że jeśli ja uznałem twoje racje, nie potrzebujesz zupełnie zmuszać się do powrotu. Szczególnie teraz! — roześmiał się Zygmunt.

Nienawiścią całego ciała wyczuła triumfalny odwet, podłożony pod słowo „moja”, którego nie miał zwyczaju używać.

Nagle zerwała się na równe nogi.

— A Jurek?! — krzyknęła.

Coś wspaniałego przedzierało się przez śmiertelną bezzadność jej myśli. Jureczek! Jej Jurek teraz przejdzie pod jej opiekę! Zabierze go na wyłączną własność! Wywiezie, ukryje zazdrośnie dla radości własnego tylko serca i oczu. Zygmunt może mieć teraz inne dzieci, jeśli ma nową żonę. A Jurek zastąpi jej calusieńki świat. Prawda?! Prawda?!

Zygmunt zdziwił się:

— Jurek? Jurek, oczywiście, zostanie przy mnie!... Pani Teresa...

Ale pani Necia nie pozwoliła mu dokończyć. Wszystko sprężyło się w niej, gotowe do wybuchu. Umysł pracował ze zdwojoną siłą. Krystalizowało się mocne postanowienie. Wiedziała, czego broni. Czula, że chodzi o życie.

— Jurka dasz mnie! — powiedziała twardo: — Jest to jedyna rzecz, której żądam od ciebie. Słuchaj: dziecko należy się matce. Nie, cicho! Wiem, co mi powiesz! Nie chcę już słuchać o żadnych prawach. Prawo natury jest za mną. Wolno mi przecie kochać go ponad życie, być mu wszystkim, nie opuszczać go do śmierci...

Ogień przeleciał po twarzy Zygmunta:

— Tak, prawda: wolno! Nie opuszczać go do śmierci, mówisz? A ty, co zrobiłaś? Rzuciłaś go małeńkim! Odebrałaś mu dom! Matkę! Dla własnego widzimisię wyjechałaś stąd do Warszawy. Dobrze. Rozumiem: nie mogłaś ze mną żyć, było ci źle. Byłem dla ciebie zły. Ale ty przeniosłaś nad Jurka to, aby ci było dobrze. Są rzeczy, do których niema powrotu. Do nich należy serce dziecka. Po twoim wyjeździe tęsknił tak strasznie! Staralem się, by zapomnieć: miałaś nigdy nie wrócić. Dałem mu dobrą opiekę. Zapomniał nareszcie, odzwyczaił się. Zmęźniał, rozwinął się i nabrał hartu. A ty... chcesz go zabrać i znów roztkliwiać go, rozstrajać, szarpać mu nerwy

swoim brakiem równowagi, psuć swoją czułością.. Bój się Boga, Neciu! Sama nie wiesz, czego chcesz!...

Wstrząsnęła głową:

— Wiem, czego chcę. Chcę być z nim razem! Patrzeć, jak się budzi, słyszeć, jak się śmieje... Nie wyżyję dłużej bez niego. Nie mogę bez niego żyć... — wyznała z ciężkim, cichym westchnieniem.

Zygmunt rozpoczął teraz wędrówkę po pokoju. Jak dawniej — w chwili postanowienia. Coś ważył, z czymś się łamał. Wiedziała, że jej nie skrzywdzi: nie był taki. Miał serce twarde, ale sprawiedliwe. Brwi ścigały mu się z napięcia, a w twarzy gwałtowność i upór walczyły z głębokim zrozumieniem.

Pani Necia nie myślała o niczem. Dywan miał zajmujący deseń: błędziła sobie oczami po nim, jak po korytarzu nieznanego domu. Tylko w głębi, gdzieś chyba pod sercem, czaiło się to nieznanne. Jedno dotknięcie — sprężyna wypchnie wieko — i wyskoczy: złe, albo dobre.

Zygmunt milczał bardzo długo. Szyby poszarzały. Któraś fabryka buczała żałośnie i ponuro na dzienną zmianę. Wreszcie stanął przed nią.

— Niechże będzie, Neciu!... — wyrzekł zmęczony: — Ale słuchaj: Jurek sam wybierze. Czy możesz go zmusić, aby był szczęśliwy z tobą, jeśli cię już nie kocha? On kocha mnie i kocha panią Teresę. To dobra, rozumna kobieta. Ona także się do niego przywiązała, zastępując mu tak długo ciebie. Niechże on wybierze. Ale pamiętaj... nie wolno wpływać na jego wybór... Trzeba mu oszczędzić, o ile się da, zrozumienia naszego konfliktu. My nie umiemy rozstrzygnąć tej sprawy... Może dziecko, wiedzione instynktem, pójdzie tam, gdzie lepsza przyszłość je czeka. I jeśli... gdyby ciebie wybrał... to, Neciu, na miłość Boską, pamiętaj... ech, co tu gadać!...

Pani Aniela stała już przy drzwiach z płonącymi szczęściem oczami.

— Chodźmy zaraz! — powiedziała: — Nie mogę czekać już ani chwili.

Drżała znów tym samym dreszczem oczekiwania. Palce rąk kurczyły jej się bezwiednym ruchem. Wiedziała, że teraz już, skoro go uściśnie, to nie wypuści go już nigdy z ramion. Żeby dzwoniły jej zupełnie głośno, a w gardle zaszkło, jakby ze strachu.

Zygmunt spojrział na zegarek.

— Szósta... — powiedział: — Musimy poczekać do rana. Poślę Zośkę po panią Teresę, aby Jurek mógł wybrać naprawdę. Zobaczysz ją, Neciu! — dodał z odzieniem dumy: — Myślę, że dziś nie pojedziesz... Ale gdybyś musiała, to bardzo odpowiedni pociąg odchodzi w południe... Drugi znów o zmroku.

Odpowiedziała mu gorączkowo, zuchwale odrzucając głowę:

— Nie bój się! Jureczek mnie kocha!

IV.

Podziwiała spokój Zygmunta, który położył się i zasnął. Mimo zmęczenia i niewyspania, nie czuła senności. Siedziała wtulona w róg otomany. Trzęsło ją wewnętrzne zimno, a ręce i nogi zlodowaciały jej zupełnie. Po szybach, które szarzały i bladły, poznała, że dzień nadchodzi coraz szybciej.

W pierwszej chwili, gdy zdecydowali oboje, że Jurek sam rozstrzygnie, kogo z nich bardziej kocha.

myślała, że nie doczeka do ranka. Tyle już wycze-
kała się ostatnio! Usiadła nawprost otwartych drzwi
dziecinne go pokoju, aby móc patrzeć na jego łóżeczko
i pochwycić pierwszy ruch, gdy się wreszcie obudzi.

Chwilami przymykała oczy. Nie umiała sobie
wyobrazić, jak się to wszystko odbędzie. Szumiało jej
w głowie, a z tego dalekiego rozgwaru wylaniał się
czasem jakby urywek piosenki...

— „Lata ptaszek po ulicy“...

Otrząsała się z wysiłkiem z tego opętania, które
nie chciało jej uwolnić. Narzucała sobie myślenie
o chwili, kiedy wyjedzie stąd z Jurkiem. Jurek bę-
dzie niósł małą walizeczkę. Jadąc, będzie się dopy-
tywał o nazwy miejscowości, o to, kiedy Warszawa?
i czy Mamusia ma u siebie drugą Zośkę?

Łóżeczko Jurka będzie stało tuż przy jej łóżku.
Pokój trochę ciasny. Wyrzuci się dużą szafę z lustrem
do przedpokoju.

— „A ja sobie stoję w kole i wybieram, kogo
wolę“...

Nagle okropny niepokój przeszył ją, rozerwał,
poszarpał. A jeśli?...

Ugryzła się mocno w palec. Trzeba oprzytom-
nieć. Nie trzeba poddawać się głupim, niemożliwym
przewidywaniom. Sprawa jest jasna, a rozwiązanie
jedno. Zimny dreszcz zatrząsł nią całą. Wstała z oto-
miany, nie wiedząc, co ma z sobą zrobić. Dokądś iść?
Coś przynieść?

Siliła się na przypomnienie sobie, co to ma być
takiego. Umyła ręce... Nie, nie to. W szarem świetle
ranka czesała się, pudrowała śpiesznie, jak na ter-
min... Nie. Nakaz niepokoju podrywał ją z miejsca,
wodził po całym mieszkaniu.

Przed drzwiami dziecinne go zatrzymała ją oba-
wa, że zbudzi Jureczka. Zapierało jej dech w piersi.
Odchodziła i wracała, coraz niespokojniejsza, aby
wreszcie zrozumieć, że pragnie jednego: wejść, zabrać
Jurka, przytulić go do piersi i unieść. I ukryć dla
siebie. Bez tej ceremonji, która ją czeka, i która,
wziąwszy trzeźwo, może dać wynik taki, albo inny...

Zatknęła uszy, uciekła, gorączkowo zaczęła prze-
stawić nakrycia na stole, niesprzątniętym jeszcze od
wczoraj. Zabroniła sobie wątpić. Uparcie myślała
o powrocie do domu — do tamtego, w Warszawie,
skoro ten już nie jest jej domem — z Jurkiem.

Zośka weszła do pokoju, zła, wściekła!

— Teraz znów latać po tamtą! — burczała: —
Od rana goście! Nie spanie, a goście!...

Więc to już! Pani Aniela poczuła się lepiej,
otrzeźwiona tym szorstkim głosem.

Była ósma. Lada chwila Jurek się obudzi. Chcia-
ła być z nim od początku. Stała przy drzwiach
i ostrożnie spojrzała.

Jurek nie spał. Miał otwarte oczy. Patrzył w su-
fit i przewracał się z boku na bok, opowiadając so-
bie coś półgłosem. Pani Necia weszła pośpiesznie.

— Już nie śpisz, synku? — zapytała.

Jurek przestał się przewracać. Dużemi, zdumio-
nemi oczami spojrzął na nią. Po chwili podciągnął
nóżki i usiadł. Najwyraźniej nie poznał jej.

— No? Jureczku?! — nalegała.

Wcisnął się w poduszkę.

— Co pani chce odemnie? — zapytał nieufnie:—
Gdzie panna Michasia?

— Panna Michasia może przyjść w tej chwili.
Ale ja ciebie ubiorę, Jureczku! No? Nie chcesz, żeby
Muśka ubrała?!

Jurek z ulgą kiwnął głową:

— Tak! Proszę. Ale nie wiedziałem, że to ty.
Myślałem...

— Nie poznałeś mnie? — zapytała, rozżalona.
— Nie.

Powiedział to zupełnie szczerze. No, pewno, przez
noc mógł zapomnieć.

— Pocałuj mnie, Jureczku! — prosiła.

Grzecznie, spokojnie pocałował ją w policzek,
uśmiechając się z zawstyżeniem. Kładła mu skar-
petki, sznurowała buciki, a on kręcił się trochę, nie-
zadowolony. Wreszcie nie wytrzymał.

— A nacieranie? — zapytał.

Nie mogła zrozumieć. Chodziło o nacieranie
zimną wodą. Panna Michasia codzień go wyciera.
Pani Teresa kazała. To imię dotknęło ją przykro. Pani
Teresa? No, więc co? Więc koniecznie trzeba codzień?
Raz można opuścić.

— Dziś! — pomyślała: — W takiej chwili! Ale
on nie wie. A później wszystkie te wymysły pójdą
w zapomnienie, będę mu dogadzała...

Dzwonek. Już? Tak wcześnie?

Serce skoczyło do gardła, ręce zaczęły drżeć,
zamęt zwałił się na głowę. Beładnie ubierała synka.
Guziki, przekręcające się, jak na złość, w zimnych pal-
cach, przyprawiły ją o rozpacz. W przyległym po-
koju usłyszała głosy swobodne i pewne siebie, i umyśl-
nie zaczęła marudzić. Odwlekała tę chwilę, odkłada-
jąc ją ze wzrastającym uczuciem lęku. Wypraszała
się czasowi od tej męki jeszcze na trochę... jeszcze na
parę minut... jeszcze ten guzik, ten kołnierzyk... Jesz-
cze... już wszystko.

Jurek, który usłyszał i poznał głos pani Tere-
sy, wyrwał się niecierpliwie z jej rąk.

— Terenia tam jest! — tłumaczył jej błagal-
nie: — Muszę się przywitać.

Znalazła jeszcze jeden pretekst. Przytrzymała go
za ramię, aby go uczesać. Grzebień... Drżącymi dłońmi
zaczęła rozplątywać zwichrzone loki. Były, jak żywe:
zaczepiały się same o grzebień, wplątywały się
umyślnie, wkiwały się, jak cienki jedwab na motku.

— Ciągniesz! — niecierpliwie się chłopiec: —
Pani Teresa nigdy mnie tak nie drze!...

Właśnie tego było potrzeba. Puściła go od razu:

skoczył ku drzwiom. Jeszcze zdołała wyszeptać su-
chemi wargami:

— Juruś! Kochasz ty mnie?...

Zatrzymał się, zdziwiony.

— Kocham — odpowiedział przelotnie, śpiesząc
się z odejściem.

W uszach pani Anieli to pytanie i jego odpo-
wiedź zabrzmiały dziwnie sztucznie. Zygmunt zapu-
kał do drzwi.

— Neciu, można cię prosić? — powiedział
ugrzecznonym tonem.

— Idę.

Pani Teresa siedziała przy stole, a przy niej,
przytulony, stał Jurek. Zarzucił jej ręce na szyję. Ła-
sił się, przymilał. Patrzył jej w oczy z czułą uwagą.
Mówiła coś do niego macierzyńskim, cichym głosem,
widać objaśniając jakieś sprawy.

Serce pani Neci ścisnęło zimno i nienawiść głą-
boka, dławiąca. Pomyślała, że to pewno chodzi o nią,
że pani Teresa przekabaci małego na swoją stronę.

Postąpiła parę kroków naprzód.

Zygmunt zagajał, jak mógł najlepiej. Uroczyście
zaprezentował je sobie. Z podziwem pomyślała, skąd
mu się bierze tyle rozważań. Był, jak mistrz ceremonji,
a „strony“ — to są one.

— Jureczku, — mówił Zygmunt: — Mamusia
chce już odjechać.

Chciała zaprotestować: nie podobało jej się takie
rozpoczynanie sprawy, zgóry narzucające dziecku

pewną myśl. Ale Jurek, patrząc uważnie ojeu w oczy, kiwnął spokojnie główką.

— Więc... co ty na to? — ciągnął dalej ojciec.

Wszystko trzeba było nie tak! Zygmunt mówił sucho i chciał, naturalnie, swojego zwycięstwa.

Zerwała się z krzesła i ukłękła przed Jurkiem na ziemi. Zaraz zbliżył do niej główkę. Mały uśmiešek rozjaśnił mu oczy, patrzące w oczy matki. Poczul pewne skrępowanie: po raz pierwszy podświadomie napotkał krzyżujące się wokół niego interesy i walkę uczuć.

Przytuliła go do siebie.

— Posłuchaj, synuś. Tatuś mówi prawdę: chciałabym odjechać, ale z tobą. Mnie tam smutno samej bez mojego Jurka. Chciałabym cię zabrać, żeby cię mieć zawsze przy sobie... inaczej będę zawsze smutna. Kochasz mnie? No tak. Więc chcesz pojechać ze mną?

Niewygodnie przytulony Jurek słuchał jej góącego, cichego szeptu. Skrępowany uśmiešek nie schodził z jego twarzy. Oswobodził głowę, odsunął się trochę i przez ramię matki spojrział najprzód na ojca, później na panią Teresę.

Widząc ich powagę, poczul lęk. Niepokój go

ogarnął. Instynktownie chciał się przytulić do najbardziej znajomych, najlepszych, codziennych ramion. Wrócił oczami do twarzy matki. Poblądła, szalona oczekiwaniem, wydała mu się przerażającą.

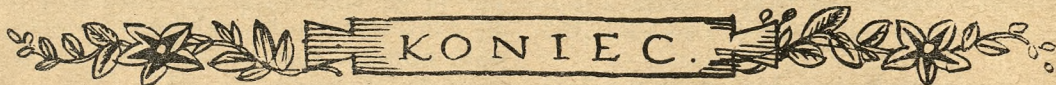
W tej chwili pani Teresa uśmiechnęła się do niego z otuchą.

Już miał się wyrwać z objęć matki. Jeszcze raz spojrział na nią. Natchniona niecodziennymi wzruszeniami, czekała. Małą, ciepłą rączką oparł się o jej ramię. Powoli, aby jej nie urazić, zaczął się oswobadzać z jej uścisku. Wyciągał się, odpychał łagodnie, uprzejmie.

Nasłuchiwała, wciąż klęcząc. Nie chciało jej się pomieścić ani w głowie, ani w sercu. Myślała, że się ludzi ze strachu. Ale rzeczywiście — odsuwał się...

Zatrzymała oddech i słuchała tego powolnego, nieustępliwego, choć nieśmiałego odchodzenia. Ręce, pragnące zatrzymać, więziło poczucie bezsiły. Opadły bez protestu, skoro oparł się mocniej, aby rozwiązać ich uścisk. Unikając gwałtownego ruchu, jak przy chorvm, odchodził w stronę pani Teresy. Jeszcze przez chwilę czuła jego prędkie, ciepłe oddech na swojej twarzy. Spojrział na nią żałośnie, wahając, przepraszając za ból — i rzucił się pani Teresie na szyję.

Kazimiera Mazurkówna



W PARYSKIEJ SOFJÓWCE

II.

Na rozdrożu.

Zofja, święta, czysta i natchniona, miała przeciw sobie wszystkie warunki zaczepne: męża, nadanego w szesnastym roku życia, który zrzędził, że nie jest dobrą gospodynią, i dokuczał, że dziwacznie się nosi; familję mężowską, która ją drażniła i wyśmiewała wszystkie jej czyny; dokoła taką atmosferę, że, jak serce silniej uderzy, to mu echo żadne nie odpowie.

Zofja nigdy na męża, na nikogo nigdy się nie skarżyła, ale naoczni świadkowie to widzieli i zeznali. Wiadomość tę w listach swych przekazała nam Narcyza Żmichowska.

Nie więc dziwnego, że z domu rada uciekała od ludzi, którzy gniewali się za to, że nie jest, jaką chcieli, by była — do tych, którzy wielbili ją za to, czem była i pragnęli, by zawsze była, jaką jest. W Warszawie do Skimborowiczów, przy kominkowym ogniu i muzyce samowara swobodnie gwarzyć o rzeczach błahych i górnice marzyć o rzeczach wielkich; w Poznaniu do Dembowskich, którzy tu przenieść się musieli, jak wielu działaczy ówczesnych.

Entuzjastki i entuzjaści, zachwyceni oryginalnością i podbici pięknnością Zofji, psuli ją z przywiązania i dziwnego olśnienia. Narcyśka kochała dla entuzjazmu, dla jej miłości do ojca, z siostrzanego wyboru.

Jak zły sen, stawało się życie z niedobranym człowiekiem... Dobry sen zaczynał się w rozmowie o ideałach. Życie wówczas swoje zdołała w zachwycające obrazki, w miłość, przyjaźń, w poświęcenie, a oni z uwielbieniem patrzyli na nią. Gabryella

w Augustcie ze wstępu do Poganki, portret dała tej wśród nich wszystkich, najbardziej dziwnej kobiety: tajemniczość jej wytłumaczyła obcością naszej krwi. Ta wielkopolska szlachcianka, wedle ducha zdawała się pisarce z francuskiej, czy włoskiej myśli poczęta. A czasem południowo-wschodnim uczuciem zarażona. Odblask jej padł też na bohaterkę powieści — Aspazję. Oczyma poetki, jakby własnymi, patrzyli wszyscy na Zofję.

Dlaczego nad inne kochały ją entuzjastki? Dlaczego Ziemięcka — mężna, wedle słów Pisma Świętego niewiasta — oprawiła ją w swe serce, djament najczystszej wody? Bo Bóg tak uroczym przyozdobił tę kobietę wdziękiem, że trudno sobie wyobrazić bardziej ponętne stworzenie. Każdy jej ruch zosobna mógł być żywcem na model przez snycerzy wzięty, każde przegięcie drobnej i szczupłej kibici mogło być przez bajadery wschodnie studjowane. A jak śpiewała! istny słowik z ponad brzegów Pilicy słuchany...

Dar malarstwa podwójny posiadała: słowem, pendzlem, pieśnią i farbami. Kto jej nie spotkał, ten sobie wyobrazić nie mógł różnorodnych żywiołów, w jeden utwór kobiety zmieszanych. Jakaś nadzwyczajna delikatność zmysłów na pochwycenie wszelkiej gry słonecznych promieni, na ocenienie dźwięków, na użycie każdego zjawiska natury i sztuki.

To też darowano jej liczne wady — zmienność, a w każdej zmianie zarówno gwałtowność charakteru; zapominano, iż młode orle nieraz skrzydłem potraci, a nawet szponami zadrasnie... Zapominano, że sarkazm u niej na zawołanie, bo po sarkazmie goto-

wa przychodziła pieszczota... Podziwiano jej rozka-
pryszenie prawie dziecinne, a męską w urzeczywist-
nieniu pragnień wytrwałość, przebaczano bezmyśl-
ność cygańska, a wymagania królewskie, wybujałą
tkliwość a ciekawość nielitościwą... Wbrew temu, co
mówili ludzie poważni, ludzie surowi, jak artykuł ko-
deksowy — mówili, że to kobieta lekka i płocha —
wbrew temu, co przepowiadała Skimborowiczowa,
która ponoś już wówczas „przewidywała późniejsze
skutki wad, istniejących w zarodku” — inne entu-
zjastki widziały tyle prawdy w każdym Zofji zachwy-
cie, ile cnoty w jednym jej błędzie... Wierzyły, że
nigdy nie skłamię nikomu, bo nigdy nie skłamała
sobie...

Tak, przez niebiosami przeniknięte szkła pobra-
tania, patrzyli na Zofję bracia po duchu i siostry po
sercu patrzyły. A jaką była w swem sumieniu? Pew-
no piękniejszą, w większej uczuć prostocie.

Pani Zofja Mielecka weszła na wieczorne zebra-
nie do Dembowskich.

Nosiła się trochę dziwnie — z męską. Za wiele
czytała powieści George Sand. Surdut długi, ciemny,
krojem surduta protestanckiego księdza uszyty. Wło-
sy krótkie, odgarnięte z jasnego czoła. Czyniła ra-
czej wrażenie bardzo młodego i bardziej pięknego
mężczyzny, aniżeli ładnej kobiety. Skimborowicz
w wiele lat potem twierdził, iż podobną była do
Edwarda Dembowskiego, bo znów kasztelanie miał
rysy niewieście. Kiedyś o zmroku zobaczywszy panią
Zofję, w cieniu okna siedzącą, nie znając jej, wziął
za przyjaciela i o mało jej nie wyściskał.

Nic tak bardzo dziwnego, że strój i postawa mło-
dej żony budziły niezadowolenie męża, a zgorzenie
całego Poznańskiego. Czasem to niezrozumienie du-
szy bardzo panią Zofję smuciło, a czasem tylko ba-
wiło. Z uśmiechem wesela weszła do bawialni, gdzie
pod miłym gospodarzeniem pani Anny zbierali się,
obok dawnych warszawskich ludzi, nowi ludzie. Gro-
madził ich i utrzymywał przy sobie Edward Dem-
bowski, człowiek niezwyklej dobroci serca i nigdy
niezamykającej się skarboxy. Tylko, że skarboxa by-
wała coraz częściej pusta, teraz już prawie zupełnie
pusta, gdyż pan kasztelan, nie pochwalający buntow-
niczych zamiarów syna, odmówił pomocy.

W bawialni siedziała Narcyza, znana już, jako
autorka — świeżo wydała tomik, poświęcony ojcu
Zosi, kochanemu pułkownikowi Kamińskiemu:
„Wolne chwile Gabrielli“. Nauczycielka przy dzie-
ciach państwa Turnów, pomimo najmiłszych i naj-
przyjaźniejszych stosunków z panią domu, tak mało
miała wolnych do pisania chwil!

Siedział młody wiekiem, poważny, wiedzą, his-
toryk Andrzej Moraczewski, smutny Roman Zmor-
ski, sarkastyczny Ryszard Berwiński i ktoś obcy, nie-
znany — Feliks Węgierski.

Twarz jego wiele miała szlachetności, w oczach
głęboki smutek, z czoła można wyczytać było wyż-
sze zdolności i wielkość duszy. To wszystko wyczy-
tała Zofja; nie omyliła się — jej pewność, omyliły
się wątpliwości i wahania psychologa - Narcyza.
„Jakim ten człowiek w istocie jest i dokąd zajdzie,
tego nikt nie odgadnie, on sam tego nie przewidzi“.

Zofja zobaczyła człowieka, o którym z niedo-
wierzaniem w snach swych marzyła. Jego pokochała,
nie działacza Dembowskiego, nie poznańskiego Don
Juana, Berwińskiego, nie smutnego poetę, Zmorskie-
go. Jego wybrała sercem, które dobrowolnie wyboru
nie czyni.

Człowiek, przez nią ukochany, musiał być nie-

pospolitym człowiekiem. Zawierzyła mu bardziej, niż
sobie samej, niż prawom religijnym. Mógłby ją był
bić i poniewierać, mógł ją w wiecznym utrzymać
przed sobą poddaństwem. Tak znów osądziła — Nar-
cyza.

Zofja kocha, a Gabriella egzaltuje się jej mi-
łością.

Zofja nie pyta, czy wolno jej kochać; poetka
uczucie to sankcjonuje w imię praw wyższych. Śmia-
ło i odważnie, choć inni powiedzą, że formy łamie,
i ktoś, świeżo do Kongresówki przybyły, utrzymy-
wać będzie, że wydała książkę przeciw związkom
małżeńskim. Jakże inaczej na tę sprawę, z jakich
wzwyż i śniegów patrzy entuzjastka! Marzy o ślubie
dusz w duchu ludzkości, o miłości, łamiącej prawa
pisane, słowem swem daje im ślub wieczny, w praw-
dzie wiecznej!

Uczucie bowiem Zofji dla Feliksa jest w jej pojęciu
dobrem bezwzględne, prawdą samą przez się i samą
w sobie. Choć przewidująca poetka wie, iż świat do tych
zmian jeszcze nie dorósł i że w dzisiejszych okolicz-
nościach miłość ta stać się może wielkiem nieszczę-
ściem. Ale zło wszelkie jest właśnie okolicznościowe,
zło idzie od zewnętrznych przyczyn; złego inni lu-
dzie narobili... Dlatego też poczytuje za obowiązek
swoją i wszystkich kobiet, które się najbardziej nie-
poszlakowane przed Bogiem i ludźmi czują, wziąć
sprawę Zofji za swoją sprawę, jej imię za swoje imię
i w każdym razie stanąć między potwarczem, lekko-
myślnem, zepsutego świata słowem, a jej rozdartem,
krwawem, a tak pięknem sercem.

Czy to Żmichowska dodała młodziutkiej przy-
jaciółce odwagi do opuszczenia domu i męża? Czy
też na krok ten zdobyła się Zofja wieczną odwagą
kochającego serca? Sądząc z listów Narcyzy — nie
namawiała, ale, iż Zofja to uczyniła, tembardziej ją
kocha i ceni. W ocenie tej dopomogli Narcyzie Mi-
chelet, Enfantin i zasada, z nich zaczerpnięta: serce
swoje kobieta wyemancypować winna, musi być wol-
no kochać! Kto prawo to nowe zdobywa myślą, mową
lub uczynkiem, ten jest „świętą przyszłości ofiarą“.

Jak pięknie Zofja kocha! Poetka poraz pierw-
szy widzi, czem jest życie, „czem duch ludzki w mi-
łości wzajemnej“; przywiązuje się do Zofji górnym
węzłem, jako do wcielenia ideału swoich pojęć o mi-
łości kobiety do mężczyzny. Biedna Narcyza, urze-
czywistnienie ideału miłości w cudzem, nie w swoim,
znajdująca sercu!

Zofja duszę już na zawsze oddała człowiekowi
o smutnych oczach, ale zupełnie zerwać z przeszłością
jeszcze nie może. Wraca do niej, wraca do męża.
Cierpi, wszyscy kamieniem na nią rzucają. „A ja nie
znam czystszeo, świętszeo dziecięcia na świecie“ —
wola z zapalem natchniona adwokatka swobody uczu-
cia. „Jej grzechem, że chce ziemię w ideał przemie-
nić, jej nieszczęściem mąż“.

„Ten człowiek wiedział, co czynić, potrafił biedną
kobietę rozrzewnić, ale gdy ktoś jednym wyrazem
stał w jej obronie — zobaczysz, jak ci się za to
odwdzięczy. Wszystkich jej życzliwych oczernił
przed rodzicami, Narcyskę poróżnił z pułkownikiem,
którego lubiła i dla którego kult żywiła. Zebrał naraz
wszystko, co pod jej tytułem przez kilka miesięcy
wygadywano, i powtórzył, dodając jeszcze swoje ko-
mentarze. Wpłynąć potrafił na to, iż wobec błędzą-
cej nie dopelniono najświętszych rodzinnych obo-
wiązków. Nawet ojciec, który ją mądrości życia uczył,
nawet matka, którą tak bardzo kochała. Opuścili
„przyszłości ofiarę“.

Aura Wyleżyńska.

KRÓLOWA MODY DRUGIEGO CESARSTWA

Właściwie epoka drugiego cesarstwa była epoką cesarzowej Eugenji. Ona była osiã, wokół której kręcił się świat — była królowã mody i stylu przez czas panowania, miała wpływ na politykã i na życie, promieniowała bowiem na wszystkich urodã, pogodã umysłu, a przede wszystkim równowagã i mãdrością. Ale koronã zawdzięczała urodzie, którą odziedziczyła po matce. Niezwykła piêkność hrabianki de Montijo pochodziła ze skrzyżowania dwóch ras: hiszpańskiej — po ojcu, pułkowniku artylerji, i szkockiej — po matce, która pochodziła z dobrej rodziny mieszczańskiej.

Eugenja urodziła się w Granadzie, w maju, podczas trzęsienia ziemi. Miał to być, jak mówili przesądni ludzie, szczęśliwy omen. Z czasem, hrabina de Montijo przeniosła się do Paryża i Eugenję uważano od dzieciństwa za prześliczną paryżaneczkę. W salonie pani de Montijo bywał Prosper Merimée i Henryk Beyle, który uwielbiał dziewczynkã o kasztanowatych włosach. Opowiadał Eugenji dzieje kampanji napoleońskiej i pierwszego cesarstwa, a gdy na zadane pytania z historii, miała hrabianka odpowiadała dobrze, przyszedł Stendhal zapraszał ją na ciastka do eukierni na rue du Bac. Ze wspomnień dzieciństwa Eugenja zachowała kult dla Stendhala i Prospera Merimée, który bywał u niej potem w St. Cloud i Compiègne, i dla kościoła Sacré-Coeur, gdzie przystąpiła do pierwszej komunji.



Cesarzowa Eugenja (litografja Sirony — 1854).

Panna de Montijo była już olśniewająco piêknã dziewczynã, gdy na pewnej recepcji jakiś ksiãdz wyrzucił jej z ręki koronã. Gdy w tym czasie jakiś żebrak, otrzymawszy od hrabianki jałmużnã, nazwał ją królowã, zabobonna hiszpanka zaczęła odrzucać najlepszych konkurentów.

Jeden okres życia spędziła hrabianka de Montijo w Madrycie, gdzie matka jej była damã dworu, jako „camarera major”. Ale potem panie wróciły do Paryża i zamieszkały w hotelu przy placu Vendôme. Hrabina bywała z córkã na wielkich balach, na których bywał także ksiãżã-prezydent i zakochał się od pierwszego wejrzenia w piêknej blondynce, będącej istotnie uosobieniem urody i młodości. Eugenja miała klasyczny owal twarzy i cerã o najdelikatniejszych odcieniach białych i róзовych. Złoto-kasztanowate włosy i modre oczy północy odziedziczyła po matce, po ojcu temperament i wdzięk południa.

Miłość Napoleona dla młodej panienki nie była uczuciem przelotnym. W Paryżu mówiono głośnie o miłości cesarza. Zaczęły się plotki, intrygi, podsłuchiwanie i złośliwość. Kiedy piêkna hrabianka poskarżyła się cesarzowi na nietakty pań dworu, Napoleon III zerwał gałzkę, uwił z niej koronã i włożył na głowã Eugenji, ze słowami: „w oczekiwaniu prawdziwej”. W ten sposób, nie licząc się z opiniã, syn królowej Hortensji oświadczył się o rękã hrabianki de Montijo.

W magazynie Palmire wystawiono wyprawã narzeczonej; suknia ślubna była z białego aksamitu z trenem, krytym koronã angielskã, gors wyszywany brylantami. Welon ślubny przytrzymał cesarski djadem z szafirów i djamentów, przetykany kwiatem pomarańczowym.

Ślub naznaczono na dzieñ 30 stycznia 1853. Do kościoła Notre-Dame wiozła narzeczonych wspaniała, złocona karoca, zaprzężona w osiem koni, ta sama, którą do ołtarza jechał Napoleon I i Marja Ludwika. Ale w drodze do ślubu Eugenji spada korona, i ten zły prognostyk wyciska łzy z oczu oblubienicy. Perły na szyi, któremi obdarowano młodã cesarzowã, też nie wróżã szczęścia.

Ale Eugenja kocha naprawdę cesarza; jej zachowanie, jako monarchini, jest wzorowe, a w ciężkich czasach okaże się ona dla Napoleona najlepszã towarzyszkã życia. Jest niewãtpliwie wybrankã losu; ma ogromny wpływ na męża, a jej rady w polityce zaważã kiedyś na losach Francji. Młoda cesarzowa umie zachować takt w stosunku do monarchy, który zdradza żonę, ale i uwielbia ją jednocześnie. Napoleon pragnie widzieć cesarzowã najpiêkniejszã z piêknych. Z woli cesarza, garderoba Eugenji składa się z 50 kosztownych tualet, dla których przeznaczono osobny apartament. Tam cesarzowa odbywa narady z anglikiem Worthem, ale sukien nie przymierza sama, tylko ogląda je na manekinach, dokładnie skopjowanych z jej figury. Dozór nad strojami powierza damie dworu, hiszpance.

Eugenja de Montijo, jako cesarzowa, zachowała przyzwyczajenia kobiet z burżuazji. Jest pedantkã, sama prowadzi rachunki, ma baczne oko na wszystko i kolekcjonuje listy, które po upadku cesarstwa okażą się cennym zbiorem dokumentów. Piêkna Eugenja otacza kultem pamiãtki po Burbonach. Meble z herbami Marji Antoniny zachowała w pałacu St.



Winterhalter: „Portret cesarzowej Eugenji”.

Cloud. Na bale kostjumowe wkładała suknie, skopjowane z portretów nieszczęśliwej królowej.

Cesarzowa jest dobra, litościwa, otacza opieką życzliwych, ale jest mściwa dla wrogów. Zostawszy regentką, okazuje najżywszy patriotyzm i zainteresowanie zarówno dla sztuki, literatury, jak dla spraw społecznych. Żadna cesarzowa nie była taką ozdobą dworu, jak ta piękna hrabianka, córka zwykłego pułkownika, która nie miała ani wielkiego charakteru, ani wielkopańskiego gestu, wrodzonego panującym, ale wdziękiem swym podbiła świat. Czyta dużo, śledzi ruch literacki, maluje, robi nawet projekty architektoniczne i tworzy własny styl urządzania wnętrz. Znajduje także czas dla spraw społecznych, odwiedza szpitale i zakłady wychowawcze.

Cesarska para jada śniadanie sama, ale z zachowaniem dworskiej etykiety; podaje się do stołu same jarzyny, przeważnie karczochy i rzodkiewki, które Napoleon i Eugenia popijają odwarem kwiatu pomarańczowego. Na spacer każde z małżonków jedzie osobno. Cesarz sam powozi factonem, cesarzowej w karecie dotrzymuje towarzystwa dama dworu, następcą tronu odbywa przechadzkę z gubernierem. Obiad jest ceremonialny, w sali Ludwika XIV, ale rozmowa przy stole nieskrępowana. Do stołu dwór podchodzi parami, a cały sztab służby bierze udział w podawaniu potraw. Na kawę czarną cesarstwo i dwór przechodzą do sali Apollina. Tu, burżuazyjnym zwyczajem Napoleon kładzie pasjansa, a Eugenia także sobie opowiadać nowinki paryskie. Czasem gra się w loteryję, po 50 cent., albo tańczy przy dźwiękach mechanicznego fortepianu.

Wielkie recepcje są bardzo uroczyste. Stosownie do ceremonjału, goście grupują się oddzielnie — po jednej stronie panie, po drugiej panowie. Potem, szambelan prezentuje cesarzowej damy, a cesarzowi

panów. Ozdobą stołów są wspaniałe kryształy, sewrska porcelana i przepięknie dobrane kwiaty. Zakończeniem recepcji jest koncert, którym dyryguje Auber, ze współudziałem sławnej śpiewaczki Adeliny Patti.

W r. 1870 odbył się w karnawale, w Paryżu, ostatni wielki bal dworski, w pałacu Tuileries. Cesarzowa zachowała młodzieńcze ruchy i niezrównaną postawę imperatorowej. Tego wieczora miała suknię i wachlarz z białych koronek, sznur pereł na szyi. Weszła na salę, wsparta na ramieniu cesarza, który prezentował się imponująco w mundurze generała dywizji. Był to najpiękniejszy bal, jaki zapamiętano w Paryżu, albowiem orkiestrą dyrygował Johann Strauss i obecne były najslawniejsze piękności Paryża, do których należała księżna Poniatowska, hrabina Walewska i hrabina Castiglione.

Suknie balowe nigdy nie były tak dekoracyjne, jak w epoce cesarzowej Eugenji. Niewątpliwie moda ta, odpowiadając urodzie pięknej monarchini, a krynolina stała się strojem tak powszechnym, że Merimée pisał w r. 1865: „Nie jestem pewny, czy można być kobietą bez krynoliny”. Rada duchowna wyznaczyła specjalną opłatę za miejsce w kościele dla pani w krynolinie, która zajmuje trzy krzesła. Kiedy arcybiskup Paryża, zaproszony na koncert religijny, wszedł pomiędzy mocno wydekoltowane kobiety, zawstydzona pani skarżyła się, że krawcowe zużywają tak dużo materiału na krynoliny — „że nie starczy na pokrycie góry” — dokończył poważnie dygnitarz kościoła.

Styl ostatniej monarchji nosi wyraźne cechy



Cesarzowa Eugenia według współczesnego sztuchu.



Winterhalter: „Cesarzowa Eugenia wśród dam dworu“.

XVIII w., na którym wzorowała się także moda cesarzowej Eugenji. Popołudniowe suknie i ogromne kapelusze kwiatowe w ogrodach Fontainebleau przypominały pasterki rokokowe z obrazów Watteau. Krynolina nosi cechy wybitnie bliskiego pokrewieństwa z „paniers“ XVIII w.

Obrazy Winterhaltera, który portretował wszystkie piękności Paryża, pozostały dokumentem tej epoki strojów, balów „travestis“, festynów z lampionami i sielanek ogrodowych. Eugenia miała kult dla stylu Ludwików, lubiła także salon Józefiny z jej inicjałami i różami, haftowanymi przez pierwszą cesarzową Francji na fotelach salonu. Tylko upięcia jedwabnych portjer i kunsztowne roboty ręczne były oryginalnymi pomysłami dekoracyjnymi Eugenji. Meble stołowe, w stylu drugiego cesarstwa, rzeźbione bo-

gato w motywy martwej natury, sprawiały wrażenie ciężkich.

Rok 1870 jest przełomowym w życiu cesarzowej Eugenji; w tym okresie największego powodzenia wojna, wypowiedziana Niemcom, rzekomo z jej namowy, przecina nagle pasmo szczęścia pięknej monarchini. Napoleon III dostaje się do niewoli pod Sedanem, a po roku wypuszczony na wolność, wyjeżdża do Anglii i tam w dwa lata później umiera. Przez cały ten czas Eugenia była mu wierną żoną, najlepszą towarzyszką niedoli.

Jeszcze jedną przeżyła tragedję: śmierć syna, Ludwika Napoleona, który jako oficer angielski, zginął w Afryce, w wojnie z zulusami. Potem przyszła starość, bardzo długa starość i bolesne rozpamiętywanie znikomego szczęścia.

Paula Lamowa.

POLKA W OCZACH FRANCUZA

Czy bardzo trudną jest rzeczą zrozumieć i ocenić psychikę ludzi obcej narodowości?

Zapewne tak, bo jeżeli, jak w swej znakomitej sztuce „Dom Kobiet“ twierdzi Nałkowska: „między człowiekiem a człowiekiem jest przepaść“, i to człowiekiem najbliższym, cóż dopiero między narodami, idącymi tak różnymi drogami kultury i wyrabiającymi sobie na nich djametralnie różną psychikę.

Sprawa jest więc trudna; zdaje się jednak, że bez samochwalstwa można stwierdzić, iż my, Polacy umiemy rozstrzygnąć ją lepiej od innych.

Czy dlatego, że, dążąc stale „na Zachód“, przebywając licznie i częstotliwie „zagranicą“, wprawiliśmy się lepiej w przenikanie obcej psychiki narodowej i innych obyczajów, tak, jak dobry lingwista, znający szereg języków i gwar, momentalnie uczy się i orjentuje w nowych; czy, że mamy więcej słowiańskiej intuicji, dość, że naogół lepiej rozumiemy innych, niż oni nas.

Stwierdzić to można łatwo, stwierdzić może chyba każdy na sobie, gdy, przybywszy do obcego kraju, czuje, że wie o jego obywatelach bardzo wiele, nie czując się zbyt zaskoczonym ich psychiką. Ileż narodów każdy kulturalny Polak umie trafnie scharakteryzować, nawet nie będąc wśród nich. A porównajmy z tem szereg straszliwych nonsensów, wypisywanych o Polsce i Polakach, wcale nie zawsze pod wpływem złej woli, lub wrogiego nastawienia politycznego.

Biorąc pod uwagę te okoliczności, musimy na każdą uczciwą i lojalną charakterystykę naszego kraju patrzeć przychylnie, oceniając dobrą intencję i szczerą usiłowanie zrozumienia naszych właściwości narodowych.

Książka p. Oudarda „La Polonaise“ zasługuje z tego względu na stosunek do niej jaknajprzychylniejszy. Jest w niej tyle sympatji dla Polski, tyle dobrych chęci wczucia się w psychikę polskiej kobiety, takie nowocześnie rycerskie i obywatelskie ustosun-

kowanie się do niej, że musimy uważać i cenić p. Oudard, jako naszego najlepszego przyjaciela.

Jaka jest udatność zamierzeń autora, przedstawienia kobiety polskiej retrospektywnie i współcześnie, to rzecz inna, tu trzeba zrobić pewne zastrzeżenia. Przyczyną tych braków jest, zdaje się, ta ogólna u narodów zachodu trudność właściwego zrozumienia psychiki słowiańskiej wogóle, polskiej w szczególności.

Autor zaczyna od paraleli: zestawienia polki i rosjanki, rozprawiając się w rzeczowy a dowcipny sposób z cielęcym zachwytem dla Rosji, rosjan i rosjanek, który zainspirowała Francji na długie lata przedwojenna polityka jej rządu. I tu czuje się pan Oudard doskonale „na gruncie“, zwłaszcza historycznym. Przykłady, ilustrujące różnice obyczajów w dawnych wiekach, są trafne i soczyste. Cóż można znaleźć dosadniejszego pod tym względem, jak, przytaczając opinię podróżującego po Polsce w XVI w. cudzoziemca, że w tym kraju wiele kobiet zna doskonale łacinę, dodać od siebie: „może ten autor trochę przesadzał, ale w tym czasie w Rosji nie było napewno więcej, jak trzech ludzi, znających ten język!“. Albo charakterystykę rosjanki z XVII, XVIII wieku, która „malowała się, jak dzikuska, była niewolnicą w domu, nie umiała czytać ani pisać i niczego nie mogła nauczyć swych dzieci; to też rosjanie byli w tym okresie najciemniejszym narodem w Europie“, i przeciwstawienie temu polki, która w tych samych wiekach „czarowała swym rozumem cudzoziemców, przyjmowanych w swym salonie, interesowała się polityką, literaturą, sztuką i wiedzą, a w nieobecności męża zarządzała majątkiem“. To jest świetne: widzimy obie panie, jak na dłoni. I obyczaje obu krajów też.

Polka z okresu walk o niepodległość przedstawiona jest z wielkim pietyzmem i z bardzo trafnym doбором przykładów. Śliczna jest charakterystyka konspiracyjnej działaczki na Śląsku, wstrząsający obraz samobójstwa wieśniaczki z czasów wojny japońskiej, choć to raczej tylko matka, nie patrijotka; doskonale zato dobrana, jako typ i charakter, jest sylwetka matki marszałka Piłsudskiego.

Ze współczesną polką idzie gorzej; najlepsza jest lwowianka, ale to też już historia. W charakterystyce obecnej, powojennej polki autor czuje się mniej pewnie. Przychodzi mi na myśl porównanie, zrobione przez autorkę polską, której nazwiska nie pamiętam, charakteryzujące ustosunkowanie się do domu i gospodarstwa francuzki i niemki: „niemka (chodziło o dawną, przedwojenną) stawia porządek w domu ponad wszystko; francuzka uważa go za rzecz bardzo ważną, ale nie sądzi, żeby konieczne było, dla utrzymania go, zmarnować samą siebie“. Jest to niezmiernie treściwe uwypuklenie psychiki kobiecej obu ras. Takiego uwypuklenia współczesnej polki w „La Polonaise“ nie widzimy. Byłoby ono zapewne o wiele wyrazistsze, gdyby autor oparł się był na własnej ocenie opisowej tego, co tak słusznie nazywa: „la mentalité profonde du peuple“, zamiast charakteryzować ją przykładami. Są one mgliste: dają obraz albo psychiki kobiecej wogóle, albo kobiety nowoczesnej wogóle, albo pewnych typów, też wszędzie spotykanych: w miłości, w sporcie, w pracy zawodowej. Doskonale dobrana jest jedynie charakterystyka roli młodej dziewczyny polskiej w polityce. Tu się widzi żywe typy i świetny obrazek rodziny naszych uczonych i polityków.

Ano, charakterystyka kobiety nowoczesnej jest

wogóle niełatwa, za krótki jeszcze mieliśmy czas, aby ją poznać, cóż dopiero kobietę innej narodowości. To też te uwagi krytyczne nie mają bynajmniej na celu pomniejszenia zasługi i wartości pracy autora. Jest ona niewątpliwie duża. Pozatem świetny, błyskotliwy, specyficznie francuski styl p. Oudard sprawia, że książkę czyta się z prawdziwą przyjemnością. Pobudza ona do samokrytycyzmu, do głębszego uświadomienia sobie cech charakteru kobiety polskiej, do zastanowienia się nad problematem, jak patrzeć na nas inni; a choć my dostrzec w niej możemy niedociągnięcia, dla tych „innych“ jest bardzo piękną i rozumną opinią o polskiej obywatelce.

N. J.

Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY.

„Piękne polki“ — komedia w 4-ach aktach Stanisława Miłaszewskiego. Reżyserja J. Węgrzyzna. Dekoracje i kostjomy Wincen-
tego Drabika.

Miłaszewski ma dużo danych na to, żeby się stać polskim Rostandem. Przedewszystkiem niesłychaną łatwość, potoczy-
stość i wykwintną polerowość wiersza, a potem ten nieuleczalny nałóg „romantyczności“, który przy dzisiejszych, zbrutalizo-
wanych przez wojnę, schamiałych przez supremację materialnego i duchowego dorobkiewiczostwa czasach, wygląda, jak orchidea przy kozuchu.

Stanowczo Miłaszewski nie jest autorem „współczesnym“. Nietylko dlatego, że fantazją rad ucieka w przeszłość. Ale dlatego, że tę przeszłość ujmuje dłonią marzyciela, odzianą w ry-
cerską rękawiczkę z bajki, czy średniowiecznego romansu. Jego dramatycznym chwytom brak bezpośredniości: za dużo w nich poety, za mało szermierza, a już najmniej majstra scenicznego. Jak lotnik, doskonale czuje się w obłokach, ale gdy chce lądować, ziemia usuwa się mu z pod nóg. Poeta zawisa niejako w próżni powietrznej, stąd te „dziury“ w akcji, które niepotrzebnie kaleczą strukturę jego sztuki.

Tak się stało i z „Pięknymi polkami“.

Pierwszy akt dał zwięzłą, mocno związaną ekspozycję: konflikt miłosny trojga (może i czworga) ludzi. Niestety, w następnych aktach poeta zamiast ten węzeł mocniej zadzierzgnąć aż do ostatecznego rozcięcia lub rozwikłania, nieopatrznie go rozluźnia. Intryga wymyka mu się z rąk, jak ryba z sieci — poroya ją jakiś nowy, niespodziany nurt i zamąca rysunek postaci; zamiast je psychologicznie pogłębić, zamula je niepotrzebnymi akcesorjami.

Gdzie tkwi źródło tego fatalnego zwrotu?

W niebezpieczeństwie, jakie przedstawiają t. zw. sztuki historyczne. Stylowe tło polskiego empire'u stanowi nielada pokusę, — postać boga wojny jeszcze większą. Poeta uległ obydwu pokusom za cenę życia swoich bohaterów. Przytłoczeni ogromem napoleońskiej epopei, wtrąceni w barwny kalejdoskop epoki, rozplynęli się, jak kropla atramentu w oceanie. Prostu przestali nas interesować.

Przez trzy akty czekamy na katastrofę, która nie przychodzi. Zastępuje ją przypadek. Konflikt psychologiczny nie pęka, jak owoc dojrzały, siłą wewnętrznego napięcia, ale zostaje rozcięty ciosem, padającym z zewnątrz. Nad śmiertelnym rannym uwodzicielem pięknych polek łączą się dłonie poważnionych małżonków, których przestała dręczyć chimera zdrady.

A teraz słówko w obronie autentycznych „pięknych polek“, tych z tradycyji rodzinnych i z historycznych dokumentów. W galerji czterech typów, jakie Miłaszewski wprowadził na scenę, nie znaleźliśmy, niestety, ani jednej z nich. Za po-

wierzchnie, zbyt dekoracyjnie potraktował je poeta. A należało im się nieco więcej uwagi i pogłębienia psychologicznego. Kobieta polska z czasów napoleońskich — to już nie lalka rokoka: to coś pośredniego między damą empire'u a „prawą sarmatką“, bohdanką, żoną i matką bohaterów. Otóż ta rasowa sylwetka wyszła trochę blado.

Na dworze „pięknych polek“ królowała Zahorska swą wspaniałą postawą. Gromnicka milutko i z przejęciem wypowiedziała malarski epizod o charcicy (perelka liryzmu opisowego, która mogłaby być ozdobą tomiku poezji). Jarnińska doskonale odtworzyła postać leciwej piękności, może najbardziej zdecydowaną w rysunku charakterystycznym.

Węgrzyn i Socha w rolach dwóch rywali, Sliwicki w roli francuza-emigranta operowali efektami, znanymi ze stylowych komedyj; Bay Rydzewski dał dobrą maskę Napoleona, ale za nadto rwał słowa, co miało prawdopodobnie sugerować widzom wrażenie siły. Przytem mówił za wiele i za szczerze, jak na Sfinksa i boga wojny, ale to już „licentia poetica“.

Sztuka była gorąco przyjmowana. Autora wywoływano kilkakrotnie na premierze. S. P. O.

TEATR POLSKI.

„Katarzyna“ — komedia w 3 aktach (7-iu obrazach) Alfreda Savoir'a. Przekład Zdzisława Kleszczyńskiego. Reżyserja Karola Borowskiego. Dekoracje Karola Frycza.

Postać Katarzyny II, kiedy jako młodzianka księżniczka Anhaltu, przybywa na dwór carowej Elżbiety, aby poślubić następcę tronu Piotra — ma dużo uroku. Jest to jedyny może moment jej życia, kiedy ta groźna później monarchini i chorobliwa erotomanka wzbudzić może sympatię i współczucie. Ciekawe świadectwo o sobie samej z tych czasów zostawiła zresztą



Teatr Polski: Leokadja Pancewicz-Leszczyńska w roli carowej Elżbiety.

ta młodociana wówczas korespondentka Woltera w swoich pamiętnikach.

Trafnym instynktem wiedziony Savoir-Poznański ten właśnie moment wybrał za kościec swej historyczno-bulwarowej groteski. Szkoda, że wyszedł poza jego granice i pokazał nam, jak korona carska zmieniła Katarzynę — pełne uroku i sentymentu dziewczę — we wszeteczną Semiramis północy. Szkoda, bo plugawymi efektami z repertuaru koszarowo-alkowianego zamazał pierwotny subtelny rysunek. Trudno było w sposób bardziej brutalny i ordynarny obnażyć na scenie prywatne życie Katarzyny. Słusznie ktoś zauważył, że póki panowała dynastia Romanowów, nikt nie odważyłby się na takie traktowanie „wielkiej“ monarchini nad Sekwaną. Dziś to już nie dowód odwagi, ale raczej braku smaku i umiaru artystycznego. Autor liczy na upodobania tłuszczy bulwarowej, na tych upodobaniach żeruje z całym cynizmem karjerowicza i spekulanta teatralnego. I tu się zdradza: z pod paryskiej etykiety wylazi ordynarny stempelek: „made in Lodz“.

Trzeba przyznać, że jeśli chodzi o tkanę sceniczną, to ta łódzka bawełna w niczym nie ustępuje paryskim jedwabiom. Biegłość Savoir'a we wplataniu postaci w wątek sztuki jest niezawodna. Wszyscy są tam potrzebni, niema figurantów, osób i sytuacji zbędnych. DIALOGI są żywe, zdania krótkie i jędrne, ah, zabardzo jędrne i dosadne, nawet na dwór carowej Elżbiety.

Kto wie, czy ta postać nie jest najlepszą w całej sztuce i razem ze swoim dobrotliwym cynizmem nie najsympatyczniejszą. Natomiast postępowanie Katarzyny nie zawsze jest psychologicznie uzasadnione. Moment przerodzenia się zawiedzionej, ale wiernej żony w okrutną i rozpasaną lwicę, zawarty w scenie darcia paszportu, efektowny, ale nie pogłębiony perspektywą wewnętrznego przeżycia. Modzelewska zagrała go dobrze, ale zbyt miękko. Wogóle nie zrezygnowała ani na włos ze swego czaru osobistego na rzecz historycznego portretu. Była przez cały czas uroczą, kapryśną, zepsutą kobietą, ale nie Katarzyną II.

Pancewiczowa w roli Elżbiety miała dużo wschodniego lenistwa i pobłażliwego sybarytyzmu. Leszczyński stworzył żywy typ zarozumiałego i tchórzliwego kretyna Piotra. Dominiak w roli Patiomkina, najprzód żołdaka gwardzysty, potem faworyta carowej, wykazał dużo witalnej, prymitywnej siły — był bestją, wodzoną na jedwabnym sznurku.

Dekoracje i kostjomy miały przedstawiać skojarzenie niemieckiego rokoka z rosyjskim barbarzyństwem. Całość operetkowa. S. P. O.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

„Salome“ Ryszarda Straussa. „Płomienny ptak“ — balet Igora Strawińskiego.

W Teatrze Wielkim wystawiono oddawna niegrany w Warszawie dramat muzyczny Ryszarda Straussa „Salome“.

Jednoaktowe tragedje: „Salome“ i „Elektra“ — należały do pierwszych, które pasowały Straussa na następcę Wagnera. Wpływ autora „Parsifala“ uwydatnił się głównie w orkiestrze, którą Strauss rozszerzył znacznie pod względem ilości i gatunku instrumentów. Jednakże Wagner uzależnił muzykę od swoich postaci dramatycznych, gdy Strauss tworzył symfonje o naszkicowanych postaciach operowych i tylko styl muzyki pozostawał zgodny ze środowiskiem scenicznym. W jednoaktowych operach wystąpił wpeln głęboki tragizm, który znalazł w muzyce daleko większą siłę wyrazu, aniżeli w słowach tragedji, jako że Strauss wychodził niejednokrotnie poza ramy, zakreślone przez librecistę, i sam wypowiadał się w bogatych barwach symfonji.

Wystawienie „Salome“ nie jest rzeczą łatwą; wybór partji tytułowej nasuwa ogromną trudność połączenia dwu warun-

ków: wielkiego, pięknie i silnie brzmiącego sopranu dramatycznego, oraz młodości i takiej urody i smukłości kształtów, które usprawiedliwiałyby zachwyt Heroda wobec Salome, żądającej głowy św. Jana.

Pani Liljana Zamorska nie posiada, niestety, warunków do kreowania „Salome”. Nie mając odpowiedniego głosu, nadużywa go w momentach dramatycznych; jej dykcja jest sepleniąca, a partja wokalna naraża słuchacza na przykre rozczarowanie. Inne warunki nie są też fascynujące i nie usprawiedliwiają wystawienia straussowskiej „Salome” na warszawskiej scenie. Z wykonawców jedynie Dygas dał świetną kreację i radował nieudane przedstawienie. Praca Dołżyckiego dała dobre efekty w orkiestrze.

„Płomienny ptak” Igora Strawińskiego jest baletem, pierwszy raz wystawionym w Warszawie. Muzyka „Płomiennego ptaka” nie ma tego czaru, co „Pietrek” i „Pulcinella”, ale jest oryginalna i barwna, jak wszystkie zresztą utwory tego kompozytora. W wystawieniu baletów Strawińskiego należy unikać szablonu choreograficznego. Tym razem odczuwało się nieobecność baletmistrza Parnella. Wykonanie „Płomiennego ptaka” było banalne i nieciekawe.

Obydwo przedstawię, wypełniających jeden wieczór w operze, nie można stanowczo zaliczyć do udanych. P. L.

Kobieta w świecie i w domu

MUSIMY WYKOŃCZYĆ INSTYTUT RADOWY.

Na odbytem ostatnio zebraniu Komitetu Organizacji Kobietych dla wykończenia Instytutu Radowego zdawano sprawozdanie z obecnego stanu prac. Nasuwają się tu dwie zasadnicze refleksje: radosna i smutna. Pierwsza to ogromny wysiłek, włożony w tę sprawę przez jej dzielne organizatorki, które doprowadziły gmach Instytutu do całkowitego prawie wykończenia budowy; druga refleksja, smutna, dotyczy faktu, że niestety, nie można jeszcze było dotychczas zdobyć sumy 100 tysięcy złotych, potrzebnych na otwarcie pawilonu leczniczego i przychodni, oraz rentgenoterapii i rentgenodiagnozy. Bez tych urządzeń nie można przystąpić do głównego celu Instytutu, leczenia chorych, a przecież sprawa jest tak pilna, a przecież straszną chorobą raka dotkniętych jest tyle kobiet! Prawda, czasy są ciężkie, na niewielką nawet ofiarę zdobyć się nieraz trudno, ten cel jednak powinien być jednym z najpierwszych. Każda kobieta musi zapisać się na członkinię, gdyż niewielkimi składkami, jeżeli wniosą je masy, umożliwić zdołamy w krótkim przeciągu czasu otwarcie Instytutu i uratowanie setek istnień ludzkich.

DOBRY CEL I DOBRA ZABAWA.

Pod hasłem: „Odpowiedź Trewiranusowi” odbył się we wspaniałych salach balowych Kolonji Akademickiej (ul. Akademicka 5) Wielki Bal Doroczny, urządony wspólnie przez Towarzystwo Samopomocy Słuchaczek Żeńskich Kursów Technicznych w Warszawie (Hoża 88) i Bratnią Pomoc Słuchaczy Państwowej Szkoły Mierniczej, który zgromadził zgórá 700 osób.

Część dochodu w kwocie kilkuset złotych ofiarowano na zakup łodzi podwodnej.

Byłoby pożądane, aby więcej zabaw karnawałowych urządzano z tak poważnym i aktualnym celem.

TEGOROCZNE STYPENDJA KOBIECEJ FEDERACJI UNIwersYTECKIEJ.

Międzynarodowa Federacja Kobiet z uniwersyteckim wykształceniem ogłosiła na rok bieżący szereg stypendjów, mianowicie: cztery angielskie, jedno na przeciąg 2-ch lat, 2 na 1 rok, w Londynie, jedno na 5 lata w Cambridge, jedno na 6 miesięcy na Francję i jedno na 6 miesięcy na Niemcy. Bliższych informacji udziela i przyjmuje zgłoszenia stypendystek zarząd naczelny polskiego Stow. Kobiet z wyższym wykształceniem: Kłonna 14 w Warszawie.

NADZWYCZAJNE ZJAWISKO.

Historja cywilizacji zanotowała wiele cudownych dzieci; najwięcej mamy ich w muzyce, każdy prawie znakomity wirtuoz i kompozytor zadziwiał swoją grą już od dziewiątego a nawet siódmego roku życia. Bywały jednakże i cudowne dzieci, które w niemowlęcych niemal latach odznaczały się znajomością języków obcych, lub niezwyklei zdolnościami naukowymi, czy pisarskimi. Fakty te były jednak dawno, i zawsze skłonni jesteśmy w stosunku do nich do pewnego sceptycyzmu.

Obecnie jednak cudowne dziecko żyje i dało się sfotografować. Jest to *trzyletni* Van Dyk Tiers z Downers Grove w stanie Illinois.

Mały ten obywatel ma swój dziecienny pokój, zasłany mapami i słownikami. Dotychczas zdążył już, prócz angielskiego, opanować alfabet łaciński, grecki, oraz reguły arytmetyczne. Poza tem objawia genialne wprost zdolności do mechaniki. Mały Van jest zresztą dzieckiem zupełnie zdrowym, wesołym i normalnym. Gdy skończy „naukowe” prace, bawi się z zapalem i ogromnie lubi ładne bajki. Matka jego nie ma z wychowaniem malca wiele kłopotu, jest bowiem grzeczny, bardzo posłuszny i spokojny, w miarę żywy przy zabawie i bardzo poważny, gdy się uczy. Rodzeństwo jego nie wykazuje żadnych cech nadzwyczajnych.



Trzyletni genjusz.

O ZDROWIE DLA DZIECKA.

Opieka nad matką i dzieckiem jest w Katowicach dobrze zorganizowana. Centralna stacja opieki utrzymuje siedm poradni, rozrzuconych po całym mieście, urządzonych podług ostatnich wymagań higieny, a jednocześnie z prostym, miłym komfortem. Rycina nasza przedstawia pokój przyjęć w jednej z poradni.

KTO MOŻE JECHAĆ DO FRANCJI.

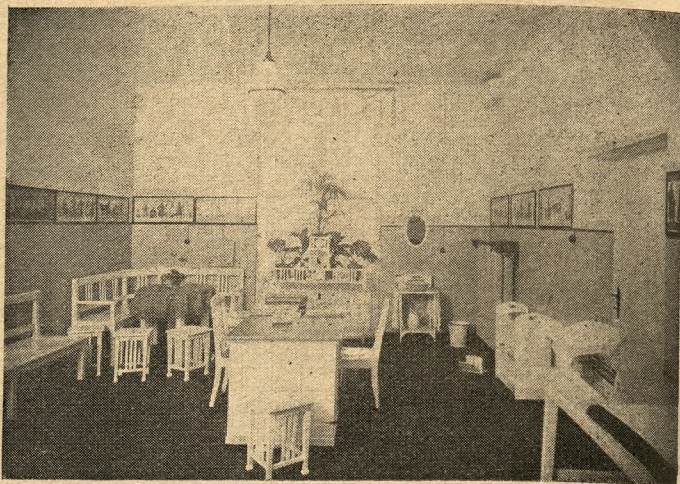
Wobec zorganizowania opieki nad kobietami-emigrantkami w 15 departamentach francuskich, Urząd Emigracyjny polski (Królewska 23) pozwala robotnikom rolnym na wyjazd do tychże departamentów, o których udziela wszelkich informacji i rejestruje pragnące wyjechać emigrantki. Nadto Urząd Emigracyjny komunikuje, że kobiety, urodzone w Ameryce północnej, a przebywające w Polsce, są uprawnione do powrotu do Stanów Zjednoczonych, razem z mężem i dziećmi.

FENOMENALNA ŁYZWIARKA.

Na tegorocznych konkursach zimowych w St. Moritz największy podziw budzi Sonia Heme, mistrzyni świata w jeździe figurowej na łyżwach. Jazda tej młodej szwedki jest czymś zupełnie odrębnym od zwykłych popisów zręczności łyżwiarskiej, ponieważ jej taniec na lodzie polega nie tylko na zręcznych figurach nóg, ale na przedziwnie lekkim i estetycznym układzie całego ciała i ruchach rąk, pomimo, że panna Heme wykonuje skoki na lodzie na znaczną wysokość.



Sonia Heme.



Pokój przyjęć w poradni.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Ostateczna decyzja Ligi Narodów w sprawie skargi Volksbundu jest następująca:

- 1) Rada Ligi Narodów stwierdza naruszenie przez Polskę w kilku wypadkach art. 75 i 85 konwencji genewskiej;
- 2) odpowiedzialność bezpośrednia za wypadki śląskie ciąży, zdaniem Rady, na osobach, które były sprawcami zająć.
- 3) Rada wyraża życzenia, aby Rząd polski przedłożył jej przed sesją majową dane, dotyczące rezultatów śledztwa, oraz zarządzenia, wydane dla przywrócenia między mniejszością i większością atmosfery zaufania i harmonji.

Na tem Henderson zamknął sesję, wyrażając zadowolenie z powodu zakończenia nieporozumień polsko-niemieckich. W końcu apelował Henderson do większości polskiej i mniejszości niemieckiej, aby starały się o wzajemną lojalną współpracę. Sprawa została załatwiona, podług ustalonego w Lidze regulaminu. Niemcy nie odniosły w niej sukcesu, o który im chodziło, nie doprowadzono do komisji śledczej, ani do dymisji wojewody śląskiego, nie mówiąc już o sprawie rewizji granic; jednakże rzuca się w oczy każdemu sztuczna sprawiedliwość takich wyroków. Dziwaczny ustrój Ligi, która ma prawo wydawać sądy, posiada jednak te prawa tylko w stosunku do niektórych krajów; inne są poza kompetencją dostojnej rady.

Szerokim echem odbiło się w całym świecie zakończenie londyńskiej konferencji Okrągłego Stołu: Anglja dała Indjom coś w rodzaju konstytucji. Indje stanowią odtąd państwo federacyjne, autonomiczne, złączone z Anglją polityką zagraniczną, armją i osobą wicekróla. Rząd będzie odpowiedzialny przed parlamentem dwuizbowym, złożonym z 240 członków izby niższej i 150 wyższej, co ważniejsze jednak, uchwały parlamentu zyskać muszą sankcję wicekróla, który może sankcji tej bezterminowo odmówić; jest to więc bardzo duże ograniczenie swobody władzy ustawodawczej.

Nie jest to idealna konstytucja, ale jest duży krok naprzód w stosunkach obu narodów. Bieda tylko, że na konferencji Okrągłego Stołu byli przedstawiciele różnych odłamów religijnych i klasowych Indyj, byli maharadzowie i targujący się o swe zyski wielcy kupcy, i zapaleni socjaliści i prawowierni mahometanie, nie było tylko swardżystów, niepodległościowców, propagatorów idei Ghandiego.

I to jest najważniejsze: co powie Ghandi, ten bohater, dzień uwolnienia którego obchodzą, jako dzień święta narodowego. Jeżeli Ghandi pogodzi się z nową, przyznaną konstytucją i zaprzestanie oporu, horyzont wyjaśni się, dla Anglii przynajmniej; o ile nie, spokój nieprędko zapanuje.

Dla nas sprawa przyszłego rozwoju Indyj nie jest wcale daleka i obojętna: możliwość wielkiego, w pełni swobody rozwoju tego kraju otwiera duże perspektywy dla naszej polityki handlowej i nawigacyjnej.

WIEŚ POD ŚNIEGIEM

Śnieg w mieście nigdy nie da nam o sobie należytego pojęcia. Padając, topnieje na ulicach odrazu, tworząc błoto szare i nudne, al-



bo marznie, czyhając zasadzką na biednych przechodniów, którzy klną, używając nieoczekiwanej i bezpłatnej ślizgawki. W rezultacie jeden i drugi rodzaj śniegu zgarnięty zostaje do kanałów i niknie z ulic.

Inaczej radzi sobie śnieg na szerokich przestrzeniach pól i w lasach. Okrywa je puchem nieskażonej bieli, jest miękki, lub zmarznięty na kryształ, ale zawsze prześliczny. Stroi drzewa, nawisa grubemi cza-

pami na dachach i okapach chat, wyściela drogi i łąki w świetle słońca i



księżycą naprzemian, jak w starych bajkach z lat dziecinnych. Możemy patrzeć nań rano i wieczorem, przez szereg dni, nie znudzi się nam, przeciwnie: znajdziemy w nim zawsze nowy urok.

Możemy też używać dowoli wszelkich sportów śniegowych, sanny, saneczkowania i nart, chodzić tylko ciężiej, gdy niema wielkiego mrozu i nogi zapadają w gruby pokład śniegowy, ale i z tem radzą sobie jakoś ludzie. A gdy przyjdzie duże i mocne słońce wiosenne, wiejski dobry śnieg nie sprawia nikomu kosztu ani pracy ze sprzątaniem. Spływa sobie sam do rzek i strumyków, zdejmując z ziemi ciepłe okrycie, które chroniło za-

siewy.

NASZA MÓWNIKA

Jak pogodzić (w odpowiedzi p. Wandzie R. w Nr 5 „Bluszczu“).

Chciałabym zabrać głos na temat, poruszony przez Panią Wandę R. w „Naszej Mównicy“: „ile małżeństwo wymaga pieniędzy“.

Chciałabym i boję się. Boję się polemizować z osobą, która, mając synów dorosłych, musi być praktyczna i doświadczona życiowo, a jednak nie mogę się powstrzymać od pytania: no, dobrze, wszystko to jest świetnie obmyślane i obliczone; ale co robić mają ci, którzy, jakkolwiek stanowią część owego „elity społeczeństwa“, jednak tych 2-ch tysięcy złotych miesięcznie nie zarabiają?

Jeden z panów, po przeczytaniu artykułu pani W. R., powiedział: „z tego wynika, że zakochani mogą sobie pozwolić tylko na miłość platoniczną, ze spacerkiem do parku, lub w Aleje, przy księżycu“. Jest to żart, ale szukajmy rady na serio. Przeciętą inteligencją, pracującą umysłowo, jak urzędnik, nauczyciel i t. d., zarabia czasem 400 zł., a w najlepszym razie 700—800 zł. miesięcznie, a życie jest życiem i żadne perswazje nie pomogą, gdy natura upomni się o swoje prawa.

Czy zmniejszyć stopę życiową, czy zwiększyć przedsiębiorczość i intensywność zarobków? zapytuje pani W. R. w swym artykule.

Zwiększyć intensywności zarobków może się już bardzo nie da, zmniejszyć zaś stopę życiową zawsze jest w naszej mocy. Wprawdzie trudno jest odmawiać sobie wielu rzeczy wówczas, gdy inni mają wszystkiego pod dostatkiem, ale tych „innych“ jest dziś bardzo niewiele i naprawdę dobrzeby było, aby wszyscy obniżyli skalę swych wymagań. Weźmy dla przykładu chociażby jeden szczegół, najbardziej aktualny: suknie balową.

Każda z nas chce, a nawet musi się trochę czasem rozzerwać i zabawić, ale czy ta zabawa musi być połączona z wydatkami, nadwyrężającymi nasz budżet domowy? Czy suknie balowa, w której jest nam ładnie, nie może służyć na cały karnawał? Sukienka balowa po jednorazowym użyciu jest jeszcze tak świeża, że najwyżej wymaga odprasowania, i wprost grzechem jest myśleć o innej, a jeżeli nam chodzi o opinię ludzką, to właśnie musimy zmusić tę „opinię“, aby szanowała raczej te kobiety, które potrafią nosić suknie długo i oszczędnie, aniżeli te, które często je zmieniają.

Podobnych przykładów, t. j. okazji do oszczędzania, bez uszczerbku dla przyjemności, lub rozrywki, możnaby przytoczyć dużo; wracając jednak do tematu, jeszcze raz rzucam pytanie: jak więc powinni się ustosunkować do związków małżeńskich ci, którzy, mając pewne kulturalne wymagania, nie są jednak w możności zarobić i tysiąca złotych miesięcznie?

Ludmika Wojciechowska z Wojciechomic.

Zamieszczając głos Sz. naszej korespondentki, musimy zaznaczyć, że p. Wanda R. w budzecie swym wcale nie przewidywała, aby młoda mężatka mogła mieć na każdą zabawę inną suknię. Jeżeli bowiem liczyła dla niej sto złotych miesięcznie (1200 zł. rocznie) na ubranie, to znaczy pałta, kapelusze, obuwie, bieliznę i suknie, to w tem wyliczeniu można zmieścić *najwyżej* jedną sukienkę balową; gruntu, że właśnie na tę jedną trzeba już mieć poważniejsze dochody!

Byłoby bardzo pożądane, aby wszystkie panie, zabierające głos w tej dyskusji, podały konkretne cyfry budżetu *zmniejszonego* tak, jak im się wydaje najpraktyczniej i najmówliwiej. Sz. Pani mieszka na prowincji, jakie tam są ceny mieszkania, życia, usługi, ubrania, rozrywek? Jednak i panie, zamieszkujące Warszawę, lub inne, większe miasta polskie, bardzo prosimy o podanie takich budżetów.

Może właśnie z ich porównania ustalić będzie można, jak pogodzić stanowisko (nieraz nawet „wysokie“) i wymagania kulturalne z szczupłymi dochodami naszej pracującej inteligencji.

Redakcja.

A jednak niema przyjaźni.

Będę mówiła o przyjaźni, opierając się na obserwacji ludzi przeciętnych. Tu właśnie, na terenie moich działań pedagogicznych znajdowała się (niestety, już czas przeszły), t. zw. „nasza paczka“ nierozdzielnych przyjaciół. Przyjaźń nasza wyglądała w ten sposób: wszędzie i zawsze nas widywano razem, z różnych krańców powiatu zjeżdżaliśmy się na oznaczone miejsce, a w dniu zjazdu (najczęściej sobota) żadne wpływy atmosferyczne i żadne wyższe siły nie mogły nas powstrzymać od udania się na oznaczony punkt zbiórki. Nazewnątrż zazdrościliśmy nam naszej spójni, wewnątrznie dobrze nam było razem, dzieliliśmy się myślami, zamiarami na przyszłość, poglądami i często nawet na tle tych ostatnich wybuchały gorące dyskusje. Wszystko było jednak stale dobrze, różnice poglądów i charakterów zbliżały nas tylko i przywiązywały do siebie.

Młodzieńcy (bo to paczka mieszana) z przyjaźni w ogieńby za żeńskim dopełnieniem paczki poszli; a to „dopełnienie“? hm, no też chyba, w miarę koniecznej potrzeby. Bez żartów: przyjaźń była prawdziwa, przez całe półtora roku. Aż raptem coś w „paczce“ zaczęło fermentować, barometr uczuć gwałtownie ruszył w górę, młodzieńcy zaczęli składać gorętsze holdy damom, gdzieś bezpowrotnie zapodziała się amerykańska równość i jedna z przyjaciółek, ta właśnie, która była tylko przyjaciółką, poczuła się raptem wysunięta za nawias, była po prostu tolerowana po dawnej znajomości, ale już reszta „paczki“ mogła się doskonale bez niej obejść, a nawet z przyjemnością stwierdzano jej nieobecność. Żle mówię: w chwili odruchów przyjaźni była podawnemu pożądaną osobą w „paczce“, ale kiedy górę brała ta nowa miłość, wtedy trzecia przyjaciółka była bezrobotna! Bo jeden przyjaciel miał właśnie jakąś gorącą dyskusję z królową swego serca; drugi rozściełał swą duszę rozmarzoną pod stopy swojej donny, a ta trzecia mogła tylko w tym czasie śledzić cielecy wyraz twarzy pierwszego młodzieńca, lub zachwycać się akrobatyczną zdolnością do przewracania oczu drugiego.

Od chwili kiedy zauważyłam taką metamorfozę przyjaźni (no, bo ja naturalnie byłam tą trzecią w „paczce“), postarałam się wycofać swoje akcje z obiegu, wykreśliłam się z koła przyjaciół, bo tam już miejsca na przyjaźń nie znajdowałam i trzeba mi było jaknajśpieszniej rejterować przed triumfalnym pochodem miłości, chociaż w danym wypadku w nią nie wierzę. Jest to czasowa narośl na ciele przyjaźni, zejdzie ona, a jednak... przyjaźń już nie wróci, już nie będzie dawnej szczeroci, dawnego przywiązania, niezabarwionego odcieniem płci.

To doświadczenie zatruło we mnie tak silną przedtem wiarę w możność istnienia przyjaźni dwóch płci. Wierzyłam w to i przed paru miesiącami gotowa byłam kruszyć kopję w tej sprawie, teraz już w przyjaźń, taką czystą, bez zabarwienia miłości, nie wierzę. Prędzej czy później przejdzie ona jednostronnie, czy obustronnie w miłość, ot, taką zwyczajną, przeciętną miłość.

Zaznaczam raz jeszcze, że myślę i mówię o ludziach, w których niema nic nadludzkiego, nie z dążenia wzwyż i o takich, których jest właśnie najwięcej na skorupie ziemi i którzy uważają, że oni właśnie stanowią jej najważniejszą część i najpiękniejszą ozdobę.

Niuska — Dyrmańce.

OŚMIOGODZINNY DZIEŃ PANI DOMU

W epoce pogoni za normalizacją pracy, warunków egzystencji, a nawet pojęć i wyobrażeń, nie się mówi o znormalizowaniu życia całych zastępów kobiet, którym na imię „panie domu“.

Dziś panią domu jest nie tylko ta kobieta, która dotychczas rozporządza zastępem służby, ale i ta, która własnymi siłami podolać musi potrzebom gospodarczym i codziennym swej rodziny, i ta, która po powrocie z biura gospodaruje skrzętnie na swej „kawalerce“. I może tym ostatnim najśluszniej przypada w udziale to zaszczytne miano „pań domu“, ponieważ dla nich dom nie ma tajemnic, one bowiem ster rządów swego domu bezpośrednio trzymają w rękach.

Dziwny jest tylko, przy tej najczęściej nadmiernej pracy, zupełny brak ochrony interesów kobiety. Jest to do pewnego stopnia winą jej samej, ponieważ kobieta nie lubi z natury obracać się w ściśle zakreślonych granicach. Ujęcie w pewne paragrafy zarówno jej praw, jak i obowiązków, skłonna jest uważać raczej za ograniczenie swych kompetencji, choćby nawet rzeczywistość przeczyła temu jaskrawo.

Tłumaczy się to tem, że kobieta zawsze lubi być wyzyskiwana, pokrzywdzona, gdyż wtedy uzyskuje w oczach własnych prawo na uzalenie się na swój los. Ten dziwny rys charakteru kobiety powoduje, że obostrza sama prawa, dotyczące kobiet. A z prerogatyw, przyznanych legalnie na jej korzyść na zasadzie różnic fizycznych — nie korzysta, identyfikując przyznane przywileje z godzeniem w podwaliny — równoprawnienia. Natomiast w życiu często wymaga przywilejów, ale indywidualnych, i, o dziwo! tu nie czuje się dotknięta w swem człowieczeństwie.

Jeśli jednak chodzi o panią domu, to zatrudnienie jej najmniej jest godne zazdrości. W tym wypadku kobieta jest w jednej osobie i kierowniczką i pracownicą — i to poniekąd decyduje o wysunięciu jej poza nawias norm, stosowanych do pracownic. Zajęcie pani domu nie ma określonych godzin, a zatem trwać może — i nieraz trwa — 24 godziny na dobę! Jest przytem silnie wyczerpujące nerwowo i fizycznie.

Weźmy nawet w najlepszym wypadku, że dana pani domu nie potrzebuje pracować fizycznie. To jednak, mimo wszystko, ciągle nastawienie uwagi na to, co się w domu dzieje, ciągła konieczność pozostawiania „w pogotowiu“ na każdy odzew dzieci, dźwięk telefonu, pojawienie się służącej, wreszcie interesantów, gości oraz domowników — wyczerpują i podrywają system nerwowy. Przyczem chwile wypoczynku i chwile pracy nie są wzajemnie rozgraniczone i trwają bez przerwy od rana do nocy. Dobrze jeszcze — jeśli pani domu obeznana jest o tyle ze swymi codziennymi czynnościami, że panuje nad ich całością. W przeciwnym razie staje się ona ofiarą domowników, a igarską przypadku.

Praca domowa nie jest skoncentrowana na pewnym określonym zajęciu, lecz składa się z całego mnóstwa różnorodnych czynności o rozciąglej kategorii. Ciągłość zaś prac nie ma żadnego kresu, ani granicy i mimowoli narzuca przeskakiwanie z jednego działu do drugiego. Minimalnie trzy razy dziennie powtarzamy kolejno jedne i te same czynności. Sprzątanie mieszkania co rano, aby mu nadaćienne oblicze, przygotowanie trzech posiłków (śniadania, obiadu i kolacji) oraz trzykrotne uprzątnięcie naczyń, wreszcie

przyszykowanie mieszkania do nocnego spoczynku. Jeśli więc pani domu prowadzi te zajęcia bezplanowo, wtedy jest wiecznie zapędzona, wiecznie zabiegana w poszukiwaniu kogoś, lub czegoś. Spala się przytem nerwowo, jak lampka oliwna. A wybuchy jej niepohamowanego gniewu dają znać otoczeniu o chwilach kompletnego wyczerpania fizycznego, którym podlegać musi. Taki stan rzeczy staje się wkrótce niedozniesienia nie tylko dla danej jednostki, lecz i dla reszty domowników, żyjących z nią pod jednym dachem.

Przyjrzyjmy się na przykładach z życia, jak różne są kategorie pracy pani domu i jak ściśle są one uzależnione od jej ekonomicznych, gospodarczych i społecznych stosunków. Pomijając warunki normalne, *gdy kobieta posiada siłę pomocniczą w gospodarstwie* i poza dziećmi oraz domem własnym niczem się nie zajmuje, istnieje cały zastęp kobiet, które z *potęgi* płatnej muszą zrezygnować, mimo, iż ten sam ciężar obowiązków dźwigają na swych barkach. Jako drugą z kolei grupę uważać można kobiety, samotnie gospodarstwa swe prowadzące, lecz *nie mające dzieci*. Wreszcie trzecią kategorię stanowią będą kobiety-gospodynie, obciążone pozatem *pracą zawodową*. I tu, jako objaw zwykły, towarzyszący warunkom egzystencji, występuje nadmierne przeciążenie pracą. I nie zarobkowanie poza domem jest przyczyną tego przeciążenia, lecz właśnie kontrastowość i drobnozawodowość zajęć domowych.

Życie kobiet jest ciągłym wysiłkiem pogodzenia obowiązków i wymagań względem ciała, umysłu i serca. Gdy jednemu staje się zadość, natychmiast na jego miejsce wyrasta nowy, drugi. Stałe tarcia wysiłku psychicznego z wytrzymałością fizyczną organizmu kobiety, a nadewszystko walka z brakiem czasu na wypoczynek, nie dają jej możliwości nagromadzenia nowych sił na miejsce zużytych. To przeistacza ją z wolna w niewolnicę pracy z konieczności, zgnębioną, uspioną umysłowo, o stępionych zainteresowaniach do spraw świata zewnętrznego.

Najsmutniejsze jednak, że praca domowa kobiet jest tak bardzo *nisko szacowana*. Lecz jest to winą kobiet samych, że postępowanie w walce o uznanie równości tej pracy z innymi zawodami nie posuwa się naprzód. Gdy zajrzemy do przykładów z życia amerykańek, spotkamy się tam z faktem ścisłego określania specjalizacji kobiet. W dokumencie osobistym każda posiada wyszczególniony zawód, w którym pracuje. I nierzadko posiada ich dwa. Jednym z zawodów jest praca zarobkowa, *drugim — gospodarstwo domowe*.

I u nas są kobiety, które łączą zawodowość z gospodarstwem w domu, niema jednak takich, któreby pracę w domu uważały za fach, pragnęły ją traktować zawodowo i chronić swe prawa według norm. A przecież uznanie ważności i ciężaru pracy pań domu — jako zawodu — musi pociągnąć za sobą w konsekwencji *ulżenie* ich losowi. Bo gospodyni posiada również prawo do tego, aby życie jej było unormowane i aby mogła pracować z zadowoleniem, gdyż jedynie w tych warunkach życie to stanie się wartościowe nie tylko dla odbiorców jej pracy, ale i dla niej samej! Ona sama musi odczuwać zadowolenie wewnętrzne ze spełnianego obowiązku, poniesionego trudu — przy jednoczesnym zyskiwaniu podniety do dążenia wwyż. Często roztrząsane sposoby odciążenia kobiety od drobnozawodowości trosk codziennych brane są za chęć usankcjonowania jej próżniactwa. Wniosek nawskroś fałszywy! Jedyną intencją poczyną w tym kierunku jest zaoszczędzenie sił kobiety na cele ważniejsze i donioślejsze. A są niemi *szeregi zadań*

wobec siebie samych i swych najbliższych — zadań, o których nietylko kobiety, ale i ich otoczenie zdaje się zapominać zupełnie.

Gdy człowiek jest przeciążony pracą codzien i wie, że jutro nie przyniesie mu żadnej odmiany losu, ztraca powoli wszelkie aspiracje, wszelkie plany na przyszłość. Staje się krótkowzroczny, apatyczny, prawie bierny. Budzą się tylko w jego umyśle od czasu do czasu odruchy zaciętości i nienawiści do najbliższych przeciwności. Z tych momentów walki nie rodzi się jednak żadne zwycięstwo dla kobiety, raczej przeciwnie: są to paroksyzmy, które dobijają ją samą.

Bo gospodarstwo można śmiało porównać do tej cudownej sakiewki z bajki, w której stale znajdował się ostatni talar. W domu również zawsze jakaś czynność oczekuje na wykonanie. Przy dużym wyczerpaniu fizycznym, człowiek ztraca krytycyzm i łatwość panowania nad całokształtem pracy. Rozprasza się na drobiazgi, które w umyśle jego wyolbrzymiają się do niesłychanych rozmiarów.

Tak często zdarza się nam w życiu dziwić niebywałej przemianie, jaką obserwujemy w istocie ko-

biecej. Młoda panna o nieprzeciętnej inteligencji, sporym zasobie wiedzy, szerokim i błyskotliwym umyśle — po wyjściu zamąż w krótkim czasie kostnieje w rozwoju intelektualnym. Strona psychiczna jej życia obumiera — bo kobieta w codziennym kieracie tak zużywa się fizycznie, że prócz chęci chwilowego wypoczynku, innych potrzeb nie odczuwa. I w ten sposób, powoli kobieta wymienia się „na drobne”. Proces tej wymiany jest wprost proporcjonalny do wniesionego przez nią w dom — kapitału intelektualnego. Gdy kapitał się skończy — następuje tragiczny kres; kobieta-żona, kobieta-matka nie może nadażyć za światem duchowym swego męża, swych dzieci. Wkrótce zaczyna być przez nich samych — nie zawsze delikatnie, lecz zawsze stanowczo — z ich świata wewnętrznego wydalana. „Ponieważ się mama na tem nie zna...”, „bo mama tego nie widziała...” lub też: „mama i tak nie rozumie”.

I wtedy najkrótszą drogą taka matka schodzi do rzędu sił pomocniczych i wykonawczych — niezbędnych jedynie do tworzenia wartościowej egzystencji dla innych.

(d. n.)

Marja Ankiewiczowa.

ARTYSTYCZNE KORONKI POLSKIE W BELGJI

Minister pełnomocny Rzeczypospolitej Polskiej, p. Dr. Tadeusz Jackowski, doręczył w ostatnim czasie Muzeum du Cinquantenaire w Brukseli witrynę-tryptyk (wykonaną w Polsce przez Spółkę Stolarską w Poznaniu), zawierającą szereg koronek polskich, prawdziwie artystycznej i misternej roboty klockowej i igielkowej, rozmieszczonych gustownie na amarantowym aksamicie, a pochodzących z Krakowa (kurs p. J. Galzińskiej), z Zakopanego, z Bobowej i t. d. Są one dowodem, do jakiej doskonałości i wykwintu koronczarki nasze doprowadziły tę naszą rodzimą wytwórczość. Każda z tych koronek jest prawdziwym dziełem sztuki, a rej wodzi wachlarz, wykonany bez zarzutu, ścięciem prawdziwie pajęczym, o motywach szczerze polskich, nie ustępujący zupełnie pięknnością wykonania i pomysłu zagranicznym koronkom, w których otoczeniu znalazł się obecnie w Brukseli.

Duży napis: „Dentelles de Pologne” zaraz orientuje zwiedzających, a mapka Polski, przytwierdzona na zewnętrznej stronie tryptyku, ma centra koronkarskie, oznaczone czerwono,

i wogóle daje obcokrajowcom możliwość zapoznania się z położeniem geograficznym naszego kraju.

Jest to dar p. mecenasa Ludwika Cichowicza z Poznania i dzieci jego w stuletnią rocznicę niepodległości Belgji i Polski, ku uczczeniu pamięci zmarłej w roku ubiegłym w Belgji ś. p. Heleny z Robińskich Cichowiczowej — wielkiej działaczki społecznej, organizatorki pierwszej i jedynej w Polsce wystawy prawdziwych koronek w Poznaniu w r. 1922. Wystawa ta cieszyła się tak dużym powodzeniem — bo też złożyły się na nią przedziwne okazy starych koronek ze skarbców naszych pań — że zamiast miesiąca trwała aż sześć!

Życzeniem ś. p. Heleny Cichowiczowej było, aby w Muzeum Brukselskiem utworzono dział koronek polskich, gdyż wśród oglądanych tam przez nią koronek z krajów słowiańskich brakło naszych koronek: kustoszka zaś, która pokazywała wszystko z wielką uprzejmością, oświadczyła, że uzupełnienie zbiorów muzealnych przez koronki polskie byłoby bardzo mile widziane.



Witryna-tryptyk z polskimi koronkami.

HERBATA

Sztuka jedzenia cieszy się w społeczeństwie naszym bezporównania większymi względami, niż „sztuka picia“.

Nie mam tutaj bynajmniej na myśli sztuki pochłaniania rekordowej ilości napojów, lecz pewien brak finezji w przyrządzaniu, podawaniu i stosunkowo niską skalę wymagań „spragnionych“, którzy gaszą tym napojem pragnienie.

W prohibicyjnym nastroju, jaki panuje dzisiaj wśród narodów cywilizowanych, peany jedynie na cześć napojów alkoholowych byłyby nie na miejscu. Wszakże brak kultury podniebienia daje się zauważyć nie tylko przy nastroju lekko podnieconym, nie tylko tam, „gdzie stół się z nami kręci“, jak to opiewa wesola piosenka operetkowa, ale i przy solidnie stabilizowanym stole rodzinnym, na którym pojawia się codzienna herbata i kawa.

Tą apostrofą do napojów codziennych chcę sobie okupić prawo wejścia też i w barwne, aromatyczne, pełne fantazji, indywidualnego polotu i tysiąca niespodzianek, królestwo cock tail'i.

Zanim umoczyć swe różane usteczka w zdradliwie chłodnym źródle podniety — cock tail'u — pozwólcie mi, współczesne wyznawczynie tego nektaru, dopomóc do zrobienia uczciwego rachunku sumienia, do zszeregowania przykazań, jakimi rządzić się trzeba, przyrządzając herbatę i kawę, do podkreślenia grzechów, obciążających nasze sumienia, w związku z temi napojami.

W wielu, wielu domach, nawet w tych, gdzie sztuka kulinarna sięga b. wysoko, trudno o filiżankę herbaty, która nie byłaby dysonansem, fałszywą nutą w boskiej symfonii.

Przyrządza ją i nalewa „laborantka“ (kuchnia współczesna — to nie *kuchnia*: to *laboratorjum*), napełnia nią filiżanki, lub (o zgrozo!) szklanki, ustawia je na tacy i bez pośpiechu, a pomimo to z zewnątrz jego oznakami (spodki skąpane w rozlanej herbacie) roznosi opieszale wśród osób, zasiadających przy stole, kiedy napój zdążył już stracić część aromatu i wrzącą temperaturę.

Kto wyznaje kult herbaty, musi przyznać, że muszą ją przyrządzać ręce powołane, ręce pani domu.

Niezależnie od tego, czy herbata będzie przyrządzona w maszynie elektrycznej, czy spirytusowej, w ultra nowoczesnej, czy po antenatach odziedziczonym, żarem węglowym rozgrzewanym samowarze — prawidła pozostają niezmiennie. Pierwszorzędny gatunek herbaty, odpowiednia woda, drobiazgowa czystość — oto główne podstawy, bez których rozwinięcie kunsztu zaparzania, gdyby wkraczał on nawet w dziedzinę mistrzostwa, nie da wyników pożądanych.

W mieście, a szczególnie w Warszawie, która szczyci się, i słusznie, wyśmienitą wodą, troska o punkt drugi (odpowiednia woda) odpada. Przybiera ona jednak nieomal groźne zarysy w miastach prowincjonalnych, na wsi, gdzie tak często spotykamy wodę znośną nawet do picia, udaremniającą jednak wszelkie, najbardziej drobiazgowo starania, chodzące w parze z przyrządzaniem herbaty. Wprawdzie i na to jest rada. Grozę sytuacji łagodzi w pewnej mierze filtr. Woda twarda, woda o żelazistym posmaku — to bolączka, którą trudno usunąć.

Jak zaparzać herbatę?

Przedewszystkiem w porcelanowym, lub kamiennym polewanym imbryczku — nigdy w metalo-

wym! Imbryczek powinien być utrzymany w nieskazitelnej czystości, tak wewnątrz, jak i zewnątrz. Chcąc ochronić dno imbryka (stykające się bezpośrednio z parą, wydzielającą się z wody) od najmniejszego zanieczyszczenia, nie stawiamy go nigdy na płycie kuchennej, ani na stole kuchennym, lecz na czystym spodeczku.

Imbryczek powinien być wypróżniony i umyty natychmiast po zużyciu esencji. Przetrzywanie liści herbacianych z dnia na dzień, a już szczególnie pozostawianie ich pod przykryciem kilka dni, aż do chwili, kiedy pokryją się pleśnią, jest nie tylko niehigieniczne, ale wpływa ujemnie na smak i aromat herbaty. Musimy bowiem wziąć pod uwagę, że racjonalnie utrzymany imbryk nie powinien być myty ani mydłem, ani żadnymi proszkami, używanymi do czyszczenia naczyń kuchennych, a jedynie czystą wodą; trudno więc będzie zanieczyszczonemu przywrócić pożądany i konieczny stopień czystości.

Woda na herbatę powinna być świeżo zagotowana. Nigdy nie zagrzewa się wody już raz gotowanej i nie gotuje się jej czas dłuższy.

Gdy woda zaczyna wrzeć, wyparzamy nią imbryk, stawiamy go na krótką chwilę na maszynie, lub samowarze, a gdy już jest silnie rozgrzany, wylewamy wodę i wsypujemy odpowiednią ilość suchej herbaty.

Z tą suchą herbatą trzyma się imbryczek na wrzącej wodzie, lub na gorącym samowarze nie dłużej, niż minutę, poczem zalewa się herbatę wrzątkiem, dając go tylko tyle, aby przykrył liście i pozostawia się tak minutę. Po upływie tego czasu można już dolać potrzebną ilość wrzątku, ustawić imbryk na wrzącej wodzie lub na samowarze i trzymać go tak 5 minut.

Herbata (esencja) nie nabierze nigdy pięknego koloru, ani aromatu, jeżeli w czasie naparzania imbryczek nie będzie odpowiednio silnie ogrzany.

A teraz przystępujemy do nalewania, musimy zatem omówić nie tylko sposób nalewania, ale i samo podanie.

Herbatę podaje się w filiżankach porcelanowych. Jedyną prawdziwie wykwintną i przez znawców uznawaną jest filiżanka porcelanowa tak cienka, że przez ściankę jej uwydatnia się gorący brąz napoju.

Cukier do herbaty powinien być rąbany (nie kryształ i nie kostkowy); cytryna pokrajana na cieniutkie plasterki, z których trzeba starannie wybrać pestki. Układając plasterki cytryny na szklanym, lub kryształowym kloszyku, czy talerzyku, daje się jeden plasterzek obrany ze skórki, jeden ze skórką, uwzględniając w ten sposób indywidualny gust poszczególnych osób. Wprawdzie przed okresem „indywidualizacji“, który obecnie przeżywamy, kazano wszystkim *uznawać, że skórka od cytryny nadaje herbacie gorycz i powinna być usunięta* — dzisiaj jednakże „wolno“ uznawać, że właśnie ona jest podstawą aromatu.

Pomarańcza pokrajana na plasterki (nieco grubsze, niż cytryna), również bez pestek, jednak zawsze ze skórką, jako skoncentrowaniem olejków aromatycznych.

Śmietankę do herbaty podaje się surową. Kożuszek, jaki formuje się na śmietance gotowanej, rozplywa się w zestawieniu z wrzącym napojem, formując na powierzchni tłuste, nieapetyczne koła, z punktu widzenia racjonalnego odżywiania uznane za szkodliwe.

Filiżanki powinny być wyparzone wrzątkiem. Esencję nalewa się do nich przez sitko metalowe (sitka, wyplatane cieniutkim drucikiem, są nieestetycz-

ne i trudne do utrzymania w czystości). Po dolaniu wody w filiżance powinno być tyle płynu, aby nie przelewał się przez brzegi, ani przy podawaniu, ani też przy wkładaniu cukru.

Herbata powinna być aromatyczna i bardzo gorąca. Chociaż nie każdy uważa wrzącą jej temperaturę za nieodzowną, to jednak trzeba pamiętać, że łatwiej amatorowi niezbyt gorącej poczekać, aż lekko przestygnie, niż narzucić temu, kto delektuje się jedynie tą przysłowiową „jak piekło gorącą“, sączenie letniego napoju. Wreszcie i skala „mocy“ herbaty to też sprawa nie do zbagatelizowania; nie wolno jej traktować ryczałtowo, a trzeba przed napełnieniem każdej filiżanki poznać upodobania osoby, dla której jest przeznaczona, i zastosować się do nich całkowicie.

Tyle — o herbacie; omówienie kawy i kapryśnych cock tail'i pozostawić muszę, z braku miejsca, do następnych numerów.

Wanda Dobrzańska.

GRZYBY SUSZONE

W niezmiernie wartościowym, bo i z najnowsze- mi poglądami nauki na tę sprawę zgodnym, i na wykwiśniętym znawstwie i bardzo wysokiej kulturze smaku opartym artykule „Pani Elżbiety“ pod tytułem powyższym (w nr. 2 „Bluszczu“ z dnia 10 stycznia b. r.), znajdują się przecież — właśnie z naukowego punktu widzenia — pewne drobne niedomówienia, które, za zgodą Szan. Autorki, a dla uzupełnienia korzyści Czytelniczek „Bluszczu“, do wiadomości i użytku ich tu podaję.

Zaczepekka moja dotyczy: 1. tłuszczu, jakiego należy do przyrządzanych grzybów dodawać, 2. naczyń, w jakich się grzyby gotować powinno, nie tylko dla zachowania ich wyborczego smaku i naturalnej barwy, ale i dla uniknięcia przykrych następstw, jakie niekiedy z gotowania grzybów w nieodpowiednich naczyniach dla zdrowia ludzkiego wynikają.

Ad 1. — „Pani Elżbieta“ we wspomnianym artykule, jak i w dodanych doń przepisach na „befszytki z grzybów“ i „zrazy nelsonskie“ z grzybów, radzi do smażenia czy podprawiania grzybów używać masła „albo szmalcu“. Otóż tę właśnie radę pragnę omówić tu krytycznie ze stanowiska naukowego.

Grzyby zawierają naogół znaczne stosunkowo ilości tłuszczu. I tak, ma go, wysuszony zwyczajnie (t. j. jeszcze z zawartością ok. 11 proc. wody): borowik 5.30 proc., kozak 4.71 proc., rydz 6.55 proc., opieńka 4.77 proc., stroszka strzelista (t. zw. sowa) 3.60 proc., lisica (kurka) 5.92 proc., smardz przedni 2.39 proc., pieczarka polna 1.93 proc., trufla perigordzka 1.31 proc. i t. d., wreszcie: grzyb domowy 13.08 proc., sporysz (na kłosach zboża) 30 do 39 proc., a pleśń do 50 proc. i wyżej!

Wszystkie tłuszcze grzybowe, chemicznie wyizolowane, tężejąc przy obniżaniu się ich temperatury, przybierają postać i charakter stężałego, po zastygnięciu, rozpuszczonego masła, dorównując mu ponadto jednakim niemal punktem topliwości. Poza tem wszystkie one, z nielicznymi wyjątkami, są albo bezbarwne, albo zabarwione żółtawo.

I te szczegóły właśnie wyjaśniają zdumiewający nas dziś, a powszechnie dotąd nieznaną fakt, że Niemcy, w czasie wojny światowej, pozbawieni dowozu artykułów spożywczych, jakich wystarczająco

dla siebie nie produkują sami, wyrabiali masło... z pleśni! Fabryk takiego „masła“ istniało wówczas w Niemczech kilka; „krowami“ były tu odpadki kuchenne, chleb stary, zepsute przetwory owocowe i jarzynowe, słowem wszystko, co tylko mogło być pożywką dla tłuszczodajnych pleśniaków. „Masło“ to, niedające się odróżnić od prawdziwego, miało być smaczne, pożywe i zdrowe; zaletę ostatnią zawdzięczało zaś, jak i tłuszcze wszelkich innych grzybów, stosunkowo znacznej zawartości związków fosforowych, w pierwszym zaś rzędzie leczniczo-wartościowej lecytynie.

Wiemy już zatem, że tłuszcze grzybowe są łatwo topliwe, szybko zmydlające się, czyli strawne i — poza wartościami leczniczymi — smaczne. Zapytam więc: — Co Szanowne Panie powiedziałyby na kucharza, polewającego np. lina na niebiesko szmalcem wieprzowym, lub na takiego akademika, co z biedy zmuszony sam sobie gotować, wysmaża jajecznicę na szmalcu lub margarynie?!... No, i w uzupełnieniu — mózdzek cielecy, polany szmalcem, wyrzuci jaki taki smakosz z pewnością za okno!...

A czy sztuka kulinarna zastanowiła się kiedykolwiek dotąd nad tajemniczym faktem, że: ryby, jaja i mózdzek nie znoszą dla podniebienia naszego innego tłuszczu ponad świeże masło? — Ba! nie tylko dla podniebienia, ale i dla zdrowia naszego nawet! Bo, niechże kto spróbuje zjeść choćby tylko taką skromną jajecznicę, usmażoną na szmalcu, a napewno nie uniknie uczucia obrzydzenia, a czasem i wymiotów lub obstrukcji, czyli, że: jaja w połączeniu ze szmalcem wieprzowym są dla zdrowia szkodliwe.

Wyjaśnienia tajemnicy tego faktu należy szukać w trudnej rozpuszczalności związków fosforowych w tłuszczach o odmiennym charakterze chemicznym, niż u masła. Jaja, mózgi i ryby posiadają — jak wiadomo — stosunkowo znaczne ilości związków fosforowych. Lecytynę leczniczą, sprzedawaną pospolicie w aptekach, wyrabia się z żółtek jaj kurzych. Do wymienionych, zasobnych w fosfor, artykułów spożywczych dołączyć należy wszelkie grzyby.

Rezultat dociekań powyższych jasny: oto wszelkie grzyby smażyć należy jedynie na świeżem, czystem maśle; smażone bowiem na innych tłuszczach, tracą nie tylko smak i aromat, ale i swą wartość odżywczą dla człowieka i stają się dlań trawiennym ciężarem, a niejednokrotnie nawet i trucizną.

Ad. 2. — Również bardzo ważnym momentem dla wartości, jakie pragniemy otrzymać z gotowanych na spożycie grzybów, jest dobór naczynia, w którym chcemy je przyprawić.

Lecz najpierw znów głos zabrać musi chemja. Wie ona, że grzyby, poza znacznym procentem fosforu, zawierają o wiele znaczniejsze jeszcze ilości potasu. Analizując popiół ze spalonych grzybów, znajdziemy w nim 19 do 57 proc. soli potasowych. Baga-tela! to znaczy, że gdybyśmy zechcieli zebrać co roku wszystkie tylko grzyby nieznanne, trujące i „zdechłe“, na ziemiach polskich w tak olbrzymich wprost masach bezużytecznie dotąd wzrastające, to, po spaleniu ich na popiół, uzyskalibyśmy... 30 do 40 tysięcy wagonów kolejowych najwspanialszych pod rolę uprawę soli potasowych!

Potas i sód są to podstawy tak zwanych alkaliów; a wiedzą coś Panie o bardzo niebezpiecznych dla zdrowia i życia ludzkiego związkach alkalicznych, zwłaszcza o związkach ich z niektórymi metalami? A czy zauważyły Panie, co się dzieje z aluminowem naczyniem, czyszczonem codzień sodą lub popiołem przez szanującą się, ze względu na czystość kuchni,

służąca? Oto, po dwóch, trzech tygodniach naczynie „puściło” i wyżurowane wyrzuca się na śmiecie! Gotujące się w takim naczyniu grzyby, a i wszelkie inne artykuły spożywcze, sól lub potas zawierające, spełniają automatycznie rolę owej służącej. Aluminium „rozpuszcza się” z wolna w soku owych gotujących się potraw. Głupstwo, że naczynie prędko niszczeje, ale grunt zła w tem, iż wraz z ugotowaną w niem potrawą wchłaniamy szkodliwe związki alkalizno-aluminjowe!

Wiedzieli coś o tem starożytni Rzymianie, u których przepisy kulinarne odnośnie grzybów wydawali — kapłani. I z historii cesarstwa rzymskiego wiemy, iż pod grozą najwyższej klątwy bogów nie wolno tam było przyrządzać grzybów inaczej, tylko w „boletariach”, t. j. w naczyniach szczerozłotych, przy pomocy łyżek i noży z „electrum”, t. j. z mieszaniny złota ze srebrem.

Łyżka rzymska do grzybów przechowała się w tradycji pokoleń wychodźców z upadłej wówczas Italji, którzy zaszli i na dolinę Sarmacką. Tradycje ich przejęliśmy my, polacy. I u nas łyżka srebrna nieodzowna jest przy przyrządzaniu grzybów; lecz — nie dlatego, iż srebro się w grzybach nie „rozpuszcza”, więc i zdrowiu nie szkodzi, ale, że... „ma” w grzybach trujących czerniec i przed śmiercią od grzybów jadowitych skutecznie ostrzegać... Posłuszna tej naszej wierze domowej, polska kucharka kolonji wakacyjnej chłopców z Westfalji w Bierzgliń pod Wrześnią (Wielkopolska), w r. 1918, wypróbowała nieszkodliwość nazbieranych przez chłopców polnych „pieczarek” srebrną łyżką tak skutecznie, iż wszyscy oni, w liczbie 31, do ośmiu dni zmarli i na bierzglińskim cmentarzu w masowym grobie, pod pomnikiem hańby dla naszego nieuctwa, cicho spoczywają!...

Tych, co wołają czytać naszą „piękną” literaturę dzisiejszą, niż niniejsze „bzdury” — proszę i błagam na wszystko: posłuchajcie chwilę! Oto — trujecie się i skracacie sobie życie! Nie dość wam smrodliwego tytoniu, od którego coraz ktoś pada na udar serca; nie dość wódki, degenerującej was cieleśnie i etycznie; nie dość oglupiających do szczytu jazzów i dancingów, co życie wasze ujęły już tak silnie w monotonność swego rytmu, iż budząc się, czy zasypiając, czy pracując, ruch każdy, ach! i myśl nawet każdą w takt trotta lub shimmy snujecie?!...

I — dziwna rzecz! — jak jednocześnie wzmaga się u nas zanik, zordynarnienie smaku! Coraz mniej wiedząc, co dobre na talerzu lub w szklance, coraz okropniejsze drukujemy i czytujemy powieści, nowele, coraz potworniejszą malujemy i rzeźbimy „sztukę”! „Smak” i „smak” — w obu kierunkach równie dziś wytworny!... Dość zająć do najbardziej eleganckiej cukierni na koncert: na Szuberta, Beethowena, ba! Straussa lub Kallmanna i palcem nikt kiwnąć nie raczy! Burze oklasków zrywają się jednak wśród publiczności po każdym tango! Widziałem dziś na rękach nianki dziecko trzyletnie, wyśpiewujące z zapalem: „Gdzie moje serce”!...

Wrogowie głupoty mody, artyści smaku, arystokraci w kulturze ducha i ciała, wołam do was: nauczcie się pożywać „ambrosję bogów”, przesmaczne, odmładzające i wiecznem pragnieniem radości życia pojące was — grzyby! Zanim przekonacie się dowodnie, że leczą one raka; że soki ich wstrzymują silnie umykające z głowy włosy, że i barwik ich do późna utrwać potrafią; zanim dowiedzie wam słynny już likier pieczarkowy, iż nie napróżno nadano mu miano „Liqueur d’amour” — nauczcie się tej na-

razie prawdy: wszelkie grzyby należy gotować tylko w naczyniach kamiennych o polewie solnej (nie białej, ołowianej!) i przyrządzać tylko łyżkami (i innymi przyrządami) drewnianymi!

Oto są tajemnice szczytu najwyższej radości życia ziemskiego, jaką jest — dobrze i mądrze przyprawiona potrawa z grzybów! *Prof. Feliks Teodorowicz.*

O NAKRYWANIU I PODAWANIU DO STOŁU

Mówiąc o dekorowaniu stołu układaniem na obrusach kwiatami ciętymi, wspomniałam o świadczeniu sobie drobnych uprzejmości przez podawanie sąsiadom sosjerek, salatek, chleba i t. p. Przy dużej ilości dobrze wytresowanej służby nie jest to konieczne, jednak w dzisiejszych warunkach taka uprzejmość staje się poniekąd obowiązkiem. Rzadko gdzie jest dużo służby; jeszcze rzadziej służba ta jest należycie wyszkolona. Często zmiana posad, praktykowana przez nasze pomocnice domowe, wcale nie wpływa dobrze na rozwój wiadomości o ich obowiązkach, a raczej wprowadza do ich główek zamęt — gdyż w każdym domu wymagania i zwyczaje są inne.

Jeżeli gospodarze powinni pamiętać o potrzebach gości (zwykle pan, albo pani domu do stołu nie siada — przy liczniejszych zebraniach nieraz oboje wciąż obchodzą gości), to i goście muszą się starać ułatwić im tę dosyć ciężką pracę i dbać o to, aby różne drobizgi, podawane z rąk do rąk, talerzyki z przekąskami, kompoty, sałaty, sosy, postawione przed niemi, przesunąć dalej. Może to, oczywiście, mieć miejsce przy jakichś wieczornych, liczniejszych przyjęciach. Przy obiadach i śniadaniach proszonych, lub przy kolacjach wystawniejszych, zwłaszcza gorących, nie do pomyślenia jest, aby goście jedli, a gospodarze ich obsługiwali. Tam, gdzie wiemy dokładnie zgóry, ile osób ma usiąść do stołu, koniecznie trzeba się zaopatrzyć w dostateczną ilość uslugi, a jeśli nie jest dosyć wprawna, zrobić z nią generalną próbę podawania przed nakrytym stołem bez biesiadników. Nie zabezpieczy to zupełnie przed błędami, lecz da pewne pojęcie o całości obowiązków, ciężących na osobach usługujących.

W życiu codziennem, nawet bardzo dostatnich i dobrze zorganizowanych domów, niezłym zwyczajem jest sposób francuski podawania do stołu, polegający na stawianiu półmiska przed panią lub panem domu, którzy zawartość jego dzielą pomiędzy rodzinę lub mniej ceremonjalnych gości. We Francji podział ten skutecznia pan domu, nawet krając mięso, rybę i pieczone przy stole. Ta ostatnia funkcja mistrza-krajczego wymaga sporego wyszkolenia, a nawet specjalnych zdolności. Nasze, polskie stosunki pozwolą raczej na wykonywanie tej roli przez panią domu. Najlepiej jednak będzie, jeżeli zostaniemy przy starym zwyczaju krajania i dzielenia potraw w kuchni, pozostawiając pani domu tylko nałożenie na talerze. Rola służącej będzie się w takim razie ograniczała do zręcznego postawienia półmiska na jakiejś specjalnej podstawce, chroniącej stół od gorąca lub obrus od zabrudzenia. Jeżeli stół jest okrągły i osób niedużo, można się nawet obejść bez podawania przez służącą talerzy już nałożonych. W każdym razie powinna

sprzątać użyte, a także za każdym daniem zmieniać widelec lub wszystkie sztucce, zależnie od tego, co zostało użyte.

Jeżeli się godzę na nakładanie na talerze potraw przez panią domu, to ze względu i na to, że ona najlepiej zna nie tylko gusta i potrzeby każdego z członków rodziny, lecz i skład dania na półmisku.

Szczególniej cenny jest staroświecki zwyczaj podawania zupy z wazą na stół i rozlewania jej na talerze już przy stole. Zupa, roznoszona na talerzach z kuchni lub kredensu, zawsze prawie przychodzi na stół zimna, a, o ile talerze są pełne, po drodze często wchodzi w styczność z palcami osoby podającej.

Aby tego uniknąć, w jadłodajniach czeskich i austriackich widziałam zupę, podawaną w dużych filiżankach ustawionych na tacy. Talerze głębokie stoją już rozstawione na stole, a osoba usługująca wylewa zawartość takiej filiżanki kolejno do talerzy. Zupa jest gorętsza i palce się w niej nie maczały.

Że w takim obiedzie rodzinnym lub przy kilku bliskich, mniej ceremonjalnych gościach wszelkie przystawki — jak paszteciki, sałaty i sosy — biesiadnicy sami sobie kolejno przesuwają, samo się przez się rozumie. Toż samo się stosuje do wody, wina, piwa lub innych napoi, postawionych w karafkach i butelkach na stole, z których każdy sobie lub sąsiadom w miarę chęci i potrzeby nalewa.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że i na codzień, i między samymi swoimi obowiązuje jaknajdalej idąca uprzejmość, ostrożność i zachowanie porządku na stole. Mając ciągle na myśli osoby, siedzące przy stole jadalni i ich potrzeby, mimowoli odbiegłam nieco od mego ściślejszego tematu — nakrywania do stołu.

Niezależnie od tego, czy używamy obrusów, czy indywidualnych serwetek, czy nakrywamy do stołu na przyjęcie gości, czy dla domowników tylko — wszystko, co z naczyń, czy sztucców może być potrzebne przy posiłku, musi być ustawione na stole, bądź zgrupowane i przygotowane gdzieś w pobliżu, aby nie było szukania, biegania, zapytań służącej, uwag pani i t. p.

Więc na stole przed każdym nakryciem stawiamy talerz płaski; jeśli dań jest więcej, a kredens jest dostatecznie zaopatrzony, możemy postawić dwa talerze jeden na drugim, a jeśli przed zupą obiadową lub podstawowym daniem kolacyjowym czy śniadaniowym ma być jakaś lekka przystawka lub przekąska, pierwszy talerz zastępujemy talerzykiem deserowym.

Na lewo od talerza kładziemy serwetę. Zwyczaj układania serwet w fantastyczne lilje, tulipany, infuły wyszedł zupełnie z mody: serwetę się składa zwyczajnie w trójkąt, lub też podwija pod spód dwa rogi trójkąta. W rodzinnym życiu najlepiej mieć kopty płócienne, znaczone literami lub monogramami członków rodziny, i w nich przechowywać serwetki.

Do serwety wkłada się zwykle kromkę chleba lub bułeczkę, zależnie od tego, jakie pieczywo w danym domu jest używane. Poza to nie powinno brakać na stole koszyczka z większą ilością pieczywa, aby przy każdym żądanym kawałku nie wołać na służącą.

Z prawej strony kładziemy nóż, widelec, łyżkę dużą do zupy. O ile sztucców starczy, dobrze jest położyć dwa widelce, aby po mięsie lub rybie, przy jarzynie móc tylko sprzątnąć używany. Przed nakryciem kładziemy łyżkę deserową do leguminy, stawiamy szklaneczki lub kieliszki w ilości, zależnej od podawanych napoi. W prawym rogu dużego talerza stawiamy mały, tak zwany kompotowy, talerzyk na sałatę.

Nakrywanie do stołu przy dużych przyjęciach, o ile goście mają wszyscy jednocześnie zasiąść przy stole, zasadniczo się nie różni od codziennego, chyba tylko wykwintniejszym serwisem, szkłem, srebrem. Czystość i porządek, a wypływająca z nich estetyka, i tu i tam jednakowo obowiązują.

Nakrycie przy przyjęciach liczniejszych, przy śniadaniach i kolacjach „à la fourchette”, wychodzi poza ramy obecnego artykułu.

Podawanie do stołu poza sposobem francuskim, to jest ustawianiem dań przed panią domu i tylko sprzątnaniem zużytych naczyń i sztucców przez służącą, jest bardzo ściśle związane z prawidłowym nakryciem stołu, powinno ułatwiać tę pracę, logicznie być z nią związane.

Podawanie do stołu ma na celu pomoc, ułatwienie osobom jeżdżącym ich posiłku. Powinno więc być spokojne, obmyślane, zręczne i uważne.

Można wiele mówić i pisać o najlepszych metodach usługiwania do stołu, jednak najlepiej przemysłane i wyłożone sposoby nie zastąpią praktyki.

Doskonałym sposobem wyszkolenia służącej jest wyżej przezemnie wspomniana próba przed nakrytym stołem bez biesiadników, a pozatem wymaganie, aby w życiu codziennym, bez gości, podawanie odbywało się równie starannie i systematycznie, jak przy większych występach.

Jeżeli półmiski mają być obnoszone, należy dobrze wpoić w pamięć służącej, że zawsze i niezmiennie podaje się je tylko z lewej strony siedzącego, aby mu ułatwić nabieranie z półmiska. To samo się stosuje do sosów w sosjerkach, do salaterek z sałatą, kompotem i t. p. dodatków, które osoba siedząca sama nabiera. Przeciwnie: talerz z zupą lub jakieś dania, podawane na oddzielnych talerzykach, jakieś sałatki, lody i t. p., stawia służąca z prawej strony. Z prawej też strony nalewa do kieliszków i szklanek wszelkie napoje i sprząta zużyte naczynia.

Półmisek z potrawą musi służąca trzymać na prawej ręce, podkładając pod niego złożoną serwetę, co zapobiega ślizganiu się półmiska i sparzeniu ręki, jeśli półmisek jest gorący. Jeśli służąca oprócz półmiska jednocześnie ma podawać sosjerkę lub salaterkę, musi ją trzymać w lewej ręce. Zalecane przez niektóre gospodynie trzymanie półmiska na lewej dłoni jest bardzo niewygodne dla służącej, przyczem półmisek jest też narażony na szwank, gdyż lewa ręka jest zawsze mniej silna od prawej.

(dok. nast.)

Pani Elżbieta.

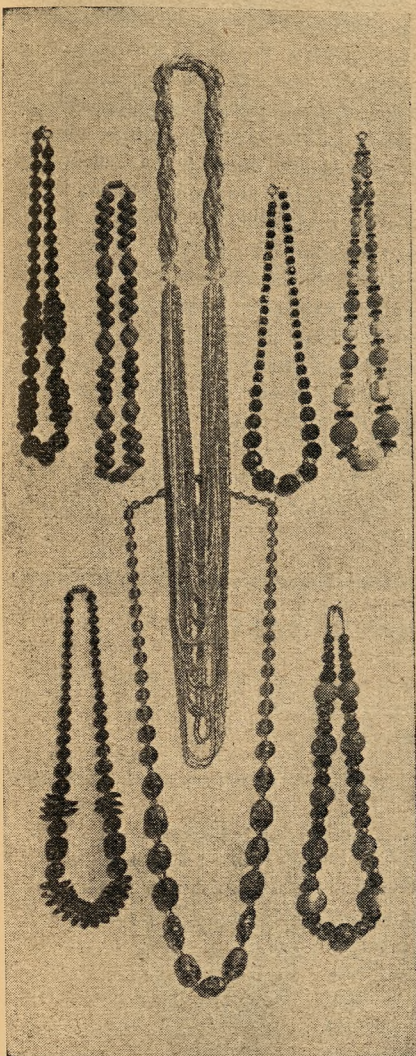
PRZEPISY GOSPODARSKIE

ZRAZY Z KABLJAU.

Kabljau jest rybą morską z gatunku dorszów. Różni się jednak od nich jasno-perłowem, prawie białym ubarwieniem skóry, daleko cieńszej i delikatniejszej, niż na zwykłym dorszu. Po wydarciu grubej skóry, wyścielającej całe wnętrze ryby, nie ma najmniejszego zapachu morszczyzny, czyli odpada największy zarzut, czyniony przez konserwatywne gospodynie rybom morskim, że mają nieprzyjemny zapach.

Zrazy z niego robimy w sposób następujący: kilowe dzwono środkowe krajemy na sześć równych plastrów, solimy na godzinę przed smażeniem. Utarzane w mące kawałki ryby smażymy na rumiano na maśle, z dodatkiem małej łyżki oliwy, co dopomaga do ładnego zrumienienia, a zupełnie zapobiega przypalaniu. Oddzielnie dwie duże cebule (wagi około 15 deka),

PREMJE DLA CZYTELNICZEK „BLUSZCZU“



Kto wnieśie wprost do naszej Administracji 30 zł, t. j. półroczną prenumeratę „Bluszczu“, opłaconą z góry,

OTRZYMA, JAKO BEZPŁATNĄ PREMJĘ, JEDEN Z NASTĘPUJĄCYCH PRZEDMIOTÓW DO WYBORU:

- 1) MODNY NASZYJNIK (paciorki), odpowiedni do każdej sukni i niezbędny dla każdej eleganckiej pani;
- 2) Zaczętą, z dołączonymi dodatkami, SERWETKĘ na talerz do chleba;
- 3) Znany ze swej dobroci KREM DO RĄK, wyrobu firmy Fr. Puls, w Warszawie;
- 4) FLAKON znakomitej WODY KOŁOŃSKIEJ — PULSA.

Przesyłając prenumeratę, należy koniecznie wymienić, którą premję Pani wybiera, gdyż w przeciwnym razie wyślemy podług naszego uznania.

Niezależnie od tych premij **każda 20-ta** prenumeratorka, z pomiędzy wpłacających roczną prenumeratę **otrzyma prześliczne wydawnictwo „Sztambuch - Skarbnica romantyzmu“** w opracowaniu **St. Wasylewskiego**. Każda **setna, dwuchsetna i t. d.** otrzyma arcydzieło M. Grossek-Koryckiej p. t. „**Świat Kobiocy**“.



Zwracamy uwagę, że do premji mają prawo tylko osoby, opłacające pełną półroczną prenumeratę, t. j. 30 zł. Prenumeratorki, korzystające z ulg, premji nie otrzymują.

pokrajać w paski i lekko zrumienić w łyżeczce masła. Usmażone zrazy ułożyć na metalowy półmisek, lub do platerowanego, płaskiego rondla, pokryć smażoną cebulą, leciuchno popieprzyć, zalać kwaterką kwaśnej śmietany i wstawić na dziesięć minut do średnio gorącego pieca. Podawać w tem samym naczyniu.

Kto chce zrobić tę potrawę w sposób oszczędniejszy, może zamiast śmietaną zalać rybę sosem zwykłym białym, zaprawionym tylko paru łyżkami śmietany. Do zrazów takich można podać kartofelki przysmażane, kartofle z wody, purée kartoflane, lub sypką kaszkę krakowską.

KARDY PO FRANCUSKU.

Pół kilo doskonale wybielonych, grubych kardów, pokrajać na kawałki równej długości, a szerokości całego liścia, i wrzucić do lekko zakwaszonej octem, zimnej wody, na godzinę. Zagotować wodę, dobrze osolić, wsypać łyżkę cukru, włożyć kardy, gotować wolno, aż zmiękną. Kawałki rury ze szpikiem zawiązać z obu końców szmatkami płóciennymi, aby szpik nie wypłynął, i ugotować w rosolu lub smaku na jaką inną zupę. Ile mamy kawałków kardów, tyle przygotować odpowiednio długich i szerokich grzanecek z bulki. Zrumienić je z obu stron na maśle i trzymać w ciepłym napogotowiu. Gdy kardy

zmiękną, odlać je na durszlak. Na każdej grzance ułożyć po kawałku jarzyny. Szpik wyrzucić z rury, pokrajać prędko na płaskie kawałki. Na każdym kawałku karda położyć plasterek szpiku, posolić drobną solą, odrobinę popieprzyć, wsunąć na chwilę do pieca i bardzo gorące podawać. Do tego podaje się w sosserce mocny sos buljonowy, lub wprost dobry rosół z rozpuszczonym w nim kawałkiem suchego buljonu.

PARÓWKI Z JAJAMI W POMIDORACH.

Ugotować pięć czy sześć jaj na twardo, wrzucić w zimną wodę, aby łupinki łatwo odstąpiły, oczyścić. Czterdzieści deka parówek pokrajać na trzycentymetrowe kawałki, jaja zaś na półkwi, lub na ćwiartki. Zasmażyć łyżkę masła z łyżką mąki, dodać sześć łyżek dobrej konserwy pomidorowej, dobrze podusić razem, rozprawdzając półtora szklanką dobrego rosolu, lub wody z kostką buljonową, czy kawałkiem suchego buljonu. Jeśli używamy rzadkie pomidory konserwowane w butelkach, bierzemy ich podwójną ilość i dusimy wpierw oddzielnie z kawałkiem masła, aż nabiorą odpowiedniej gęstości. Sos należy osolić do smaku, lekko popieprzyć, wsypać łyżkę cukru i na koniec noża suchej, angielskiej musztardy Colemana. Zagotować raz jeszcze. Parówki i jaja ułożyć w ogniotrwałym naczy-

niu (salaterce, płaskim rondlu, nelsonce i t. p.), zalać sosem, przykryć pokrywą i wstawić na dziesięć minut w średnio gorącej piec, lub tyleż czasu wolno dusić na zakrytej blasze. Podawać w tem samym naczyniu. Do tego można podać kartofle z wody.

PRAWDZIWE MARCEPANY KRÓLEWIECKIE.

Wiemy wszyscy, jak potężnym czynnikiem odżywczym jest cukier. Żadna matka, żadna pani domu nie powinna zapominać, że używając w gospodarstwie cukru za jeden złoty, daje domownikom tyle siły (kaloryj), co używając za dwa złote słoniny, za trzy złote masła lub za całe cztery złote mięsa. Mówimy tu jednak o czystym cukrze. Ten cukier już przerobiony na cukierki, ciastka i inne słodczyce, staje się znacznie droższy, gdyż kupując te smakołyki gotowe, oplacamy cały szereg kosztów produkcji i zysk nietylko przedsiębiorców, lecz i licznych pośredników.

Pani domu, chcąc do granic możliwości powiększyć zużycie cukru w swoim gospodarstwie, nie naruszając przytem równowagi budżetu, powinna większość przysmaków słodkich wykonywać w domu, mając gwarancję, że używa najlepszych surowców, a nie szkodliwych namiastek, tak często spotykanych, szczególnie w tańszych wyrobach.

Jednym z najwykwintniejszych przysmaków jest marcepan — ciasto cukrowo-migdałowe, stanowiące konieczną część składową uczt weselnych i przysmaków choinkowych. Pomyślowa gospodyni potrafi z marcepanu nietylko porobić torty i mazurki, przełożyć nim pierniki, lecz i wykonać mnóstwo cukierków, w niczem nieustępujących kupnym.

Oto jest oryginalny, królewiecki przepis na ciasto marcepanowe: kilo migdałów słodkich i 1 deka gorzkich sparzyć, oczyścić z łupinek, doskonale osuszyć na złożonym w kilkoro większym płótnie. Utrzeć bardzo drobno i dokładnie na specjalnej maszynie, lub na drobnej tarce. Kilo i ćwierć, lub, kto lubi słodko — półtora kilo cukru-kryształu utrzeć na maszynie i przesiać przez gęste sitko. Tłuczonego w móżdżerku cukru używać nie należy, lepiej kupić gotowy, mielony puder i przed użyciem przesiać go przez sitko. Utarte migdały wymieszać dokładnie z cukrem na równą kaszkę. Dopiero wtedy zacząć dodawać po kilka kropel wody różanej i energicznie wygniatać ręką całą masę, aż połączy się i stanie gładka i giętka. Woda różana, polana na nierozmieszany cukier, stopiłaby go; należy się też wystrzegać zbytniego wilżenia masy.

Z takiego ciasta można robić najróżnorodniejsze cukierki: kartofelki, maczane w proszku kakao; śliwki i daktyle nadziewane; wałeczki i kulki, maczane w czekoladzie lub karmelu; nakoniec wszelkiego rodzaju drobne owoce i jarzynki. Te ostatnie można farbować nieszkodliwymi farbami, stosowanymi w cukiernictwie.

TARTLETKA Z SUROWYCH OWOCÓW.

Trzydzieści deka mąki, dwadzieścia deka tłustego masła, dziesięć deka cukru-pudru zagnieść prędko na kruche ciasto, dodając tyle śmietany lub wody, żeby się masa nie kruszyła. Zastudzić dobrze. Rozwałkować cienko. Wyłożyć dno dużej tortownicy, z reszty ciasta uformować brzeżek, na trzy palce wysoki, mocno złączyć z denkiem. Upiec, mocno rumieniąc. Wyjąć z formy i zastudzić. Trzy duże jabłka, renety, obrać z łupin i poszatkować jaknajcieniej, używając do tego srebrnego lub złoczonego nożyka, aby nie poczerniały, skropić cytryną i rumem. Pięć mandarynek obrać i podzielić na cząstki. Skórkę jednej z nich jaknajdrobniej usiekać. Dwadzieścia deka winogron obmyć, osuszyć na płótnie, poobrywać z gronek. Wszystkie te owoce ładnie ułożyć na kruchej tartletce, przesypując skórką mandarynki. Z paczki galarety „Luba“ i trzech ćwierci szklanki cukru ugotować około trzech szklanek galarety (może być poziomkowa, ananasowa lub morelowa), ostudzić i trzymać w rondlu, aż zacznie się ścinać. Dopiero wtedy wylać na owoce. Natychmiast wynieść na chłód. Gdy zupełnie zastygnie, przesunąć na podstawę tortową, pokrytą koronkowym papierem. Jest wyborna i zawiera masę witamin.

Pani Elżbieta.

ODPOWIEDŹ REDAKCJI.

Pani Janina Tarnowska. — Adresu tego biura nie znamy. W sprawie adresu we Francji zechce Sz. Pani zwrócić się do Urzędu Emigracyjnego, Królewska 25.

Udręczony człowiek.

Dokucz mu reumatyzm, a w domu niema tabletek Aspiriny. Jeśli jest rozsądny, pomyśli o tem, aby nabyć natychmiast w aptece oryginalnych tabletek Aspiriny, które usmierzają bóle.

Istnieje tylko jedna

ASPIRINA 

Każde opakowanie i każda tabletki oryginalnej Aspiriny opatrzone są znakiem BAYER.

OD ADMINISTRACJI

Przypominamy naszym Czytelniczkom, że:

1. Celem uniknięcia przerwy w wysyłce pisma, należy rozplacać prenumeratę zawsze z góry.
2. Przy wszelkiej korespondencji z Redakcją lub Administracją w sprawie prenumeraty, zamówień i t. p. prosimy laskawie załączać znaczki pocztowe na odpowiedź w sumie 30 gr.
3. W razie zmiany miejsca pobytu prosimy o podawanie poprzedniego adresu, pod którym dotychczas otrzymywane było pismo, oraz załączanie 50 gr. na koszty, związane ze zmianą adresu.
4. Celem uniknięcia pomyłek w wysyłce pisma, prosimy o wyraźne i czytelne wypisywanie adresów na przekazach i zamówieniach.
5. Przy przesyłaniu należności prosimy zaznaczać na przekazach cel wpłaty.
6. W razie nieotrzymania któregośkolwiek N-ru, prosimy o zawiadomienie nas o tem najdalej w ciągu tygodnia od daty wyjścia poszczególnego N-ru, ponieważ spóźnionych reklamacyj poczta nie uwzględnia.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszczy“, Warszawa, Rymarska 8.